



Numer 29 Zima '14
17 grudnia 2014
Cena: 3zł



Słowo od redaktora

Droży czytelnicy! Jest mi niezmiernie miło po raz trzeci w tym roku oddać w Wasze ręce nasz klubowy Biuletyn.

Z satysfakcją mogę stwierdzić, że nasza reaktywowana gazetka przetrwała pierwszy rok i ma się całkiem dobrze. Mam skromną nadzieję, że jak dotąd Redakcji nie udało się zanudzić Was na śmierć. Żeby mieć pewność, iż do tego nie doszło, wyklepaliśmy na klawiaturach cały wór najrozmaitszych tekstów.

Tym razem wybierzemy się na Kaukaz, zajrzymy do Łupkowa i odbędziemy podróż do Skandynawii. Dowiemy się również jak nie jechać do Londynu, i co mają złote zęby do Bieszczadów. Nie zabraknie też stałych punktów programu z cyklu kursancka dola czy wywiadu z interesującą personą.

Korzystając z okazji w związku z nadchodzącymi Świętami Bożego Narodzenia i Nowym Rokiem, w imieniu całej Redakcji życzę Wam by w waszych domach zagościł zapach choinki i rodzinna atmosfera, a wszystkie prezenty, które otrzymacie, okazały się strzałem w dziesiątkę. Niech wszelkie strapienia zostaną w starym roku a nowy obfituje w pozytywne zaskoczenia oraz podróże małe i duże.

Po przetasowaniach zespół redakcyjny występuje w składzie:

- Grzegorz Kaczmarek – Redaktor Naczelny
- Stefania Ambroziak – Zastępczyni Redaktora
- Magda Bojarska
- Ewelina Różańska
- Grzegorz Bokota
- Damian Dąbrowski

Wystąpili gościnnie, mam nadzieję, że nie po raz ostatni ;-)

- Magda Czarnecka
- Małgorzata Grabowska
- Paulina Kocot

- Katarzyna Sęplawska
- Marta Sikora
- Magdalena Wierzbicka
- Tomasz Rutkowski
- Paweł Staniszewski
- Michał Wangrat
- Maciej Szuba

Specjalne podziękowania dla:

- Łukasza Supergana
- Pawła Staniszewskiego
- Kursantów, którzy dołożyli swoją cegiełkę i w nagrodę otrzymują mapy firmy Compass.

Spis treści

Z Życia Klubu	4
Kalendarium VI – XII 2014 r.	4
25 lat Bazy Namiotowej w Podwilku na Orawie	8
Z pamiętnika kursanta	9
Z pamiętnika Kursanta XXXIV KPG	9
Letnie XXXIII KPG	11
SKG na świecie	13
Duńskie cuda i dziwy	13
M4 Kaukaska Erukcja	16
W cztery oczy	17
Samotne przejście łukiem Karpat	17
Czy wiecie, że...	18
Chata na Końcu Świata	18
Trasy nie tylko na wczasy	19
Jura Krakowsko-Częstochowska. Część Południowa.	19
Niedoceniane Pogorza	20
Poradnik Wędrowca	20
Jak nie jechać do Londynu	20
Z szuflady Wagabundy	22
Wiersz znad Wetlinki	22
Zwycięzca	22
Kącik literacki	23
Obieramy trupa z zębów	23
Trzy po trzy	24
Porta Rusica	24

Kalendarium VI – XII 2014 r.

Ewelina Różańska

Ostatnim razem Biuletyn SKG widziany był na 25-leciu bazy namiotowej w Podwilku. Pamiętacie jak to było? 31 maja za sprawą bazowego Pawła Staniszewskiego i niemniejszej entuzjastki Madejowego Łoża – Karusi, obchodziliśmy ten jubileusz na kempinowskiej Polanie Opaleń przy ognisku. Czuło się atmosferę, jakby Podwilk wyrósł tego popołudnia pod Warszawą. Zjechały się całe rodziny spędzające wakacje w bazie, zasłużeni – żyjące legendy, sympatycy i ci, którzy Podwilka jeszcze nie znają. Brakowało tylko gór. Oglądaliśmy zdjęcia sprzed lat i wsłuchiwaaliśmy się w opowiadania Madejowych weteranów. Imprezę uświetniło jeszcze jedno ważne wydarzenie z życia Klubu. Otóż nasz serdeczny kolega – Maciek Warchałowski – został tego dnia mianowany przez Michała Bekeya nowo upieczonym przewodnikiem SKG.



Pasowanie Maćka Warchałowskiego na przewodnika

Niestety planowana na początek czerwca Działówka w tym roku nie odbyła się z powodu zbyt małej liczby chętnych (!). Na szczęście pomysł zrobienia Festiwalu Kuchni Turystycznej w pewnym urokliwym miejscu na skraju Puszczy Kampinowskiej ciągle czeka na swoją realizację.

Choć w czerwcu studentom bardziej myśli zaprzętała sesja niż spotkania towarzyskie, korzystając z ostatniej szansy, żeby spotkać się w klubowym gronie przed rozjazdami na wakacje, 25 czerwca graliśmy w Skaryszaku we fisbee. Do ostatniej chwili, póki ciemność zupełnie nie przesłoniła nieba, dwie drużyny biegały jak szalone za plastikowym talerzem. Pierwszy raz w życiu grałam we frisbee drużynowo i polecam każdemu – świetna zabawa i naprawdę można się wyhasać ☺.

Koniec czerwca to także świetna okazja, by wyskoczyć na weekend na Orawę, bo 27 i 28 czerwca miało miejsce rozkładanie bazy namiotowej w Podwilku. Chętnych do pomocy nie brakowało także w czasie wakacji – w Madejowym Łożu bazowali m.in. Marta Cobel-Tokarska i Paweł Marciniak z małym Dzikim, Karusia, Paula Kocot oraz niezastąpione małżeństwo państwa Staniszewskich.

Ścigant Babiogórski o wschodzie słońca w dniach 28-29 czerwca to rajd Maćka Warchałowskiego poprowadzony jako nagroda za rozkładanie bazy w Podwilku. Pla-

nowana trasa niestety nie została zrealizowana z powodu bardzo silnego wiatru i innych niekorzystnych czynników. Grupa zakończyła ją na przeł. Krowiarki, ale co się odwdzięczy, to przecież nie uciecze, więc najlepsze – czyli obiecany wschód słońca na Babiej – dopiero przed nami!



Ekipa M4 na szczycie

W połowie lipca wyruszyła ku przygodzie najgłośniejsza wyprawa klubowa tego roku. Ekipa o zaszyfrowanej i enigmatycznej nazwie M4 (oznaczająca Michała w swoim ulubionym środowisku), do której należeli Magda „Małuch” Wierzbicka, Gosia „Grabosia” Grabowska, Magda „Tygrys” Czarnecka i Michał „Dziubasek” Wangrat ;P, zdobywali kaukaskie kolosy – Elbrusa (5642 m n.p.m.) oraz Kazbek (5033 m n.p.m.). Po miesiącu na Zakaukaziu, M4 wracało stopem przez Turcję, dzieląc się na dwa zespoły autostopowe. Małuch i Gosia po 7 dniach wylądowały w Polsce, a Magda z Michałem w samą porę przybyli na egzamin na rumuńskiej Bukowinie, który Michał zakończył bardzo pozytywnym wynikiem. Więcej o wyprawie na str. 16.



Uczestnicy letniego

Nic pewnego na tym ziemskim padole – także i letni wyjazd egzaminacyjny za granicę. Długo i cierpliwie musieli zdeterminowani kursanci znosić niekompletne informacje ze strony władz. Niektórzy nie mogli spać, inni stracili łaknienie, a jeszcze inni myśleli już tylko o najgorszym. . . Na szczęście widmo ustawicznego lęku o przyszłość minęło, gdy wiadomym stało się, że jako instruk-

tor pojedzie z kursantami Paweł Marciniak, a w celach praktykanckich towarzyszyć mu będzie Maciek Warchałowski. Grupa szybko wzięła się do pracy organizacyjnej, by w drugiej połowie sierpnia (17-27.08.) wyjechać na rumuńskie połoniny Bukowiny – w Muntii Raran-Giumalau oraz Muntii Bistritei. W tym roku w przejściu wzięło udział 8 kursantów, w tym 4 spady, a do szczęśliwców, którzy je zaliczyli, należą: Ola Kołodziejczyk, Marek Paleski, Michał Wangrat oraz Michał Górski.



Gosia Rukasz – prawie jak Kaukaz

Zdradzić Wam mogę także, że znani i lubiani też odcisnęli swoje ślady w niejednych górach na świecie. Marta Cobel-Tokarska i Paweł Marciniak z Dzikim wędrowali po słoweńskich Alpach Julijskich, Michał Bekey pojechał za Olą Laszczką aż do Peru, gdzie spędzali wakacje także Beata i Tomek Weksej ze znajomymi. Strzelec był w Turcji, a Gosia Rukasz i Olga w czteroosobowym kobiecym teamie eksplorowały Gruzję i Armenię, dokąd trafił i Łazarz z tajemniczą Katarzyną ;)

Z pewnością jesteście ciekawi, gdzie bywała pani Prezes – już Wam mówię! Grażyna razem ze swoją drużyną reprezentowała Polskę na międzynarodowych zawodach we frisbee, które doprowadziły ich do finału! Na tym nie koniec, bo we wrześniu pojechała do zaodrzańskich sąsiadów, by ponownie zmierzyć się z najlepszymi drużynami świata. I... wrócili ze srebrnym medalem! Grażka, w imieniu całej redakcji Biuletynu – GRATULUJEMY!

3 września ustanowiono pierwszym po wakacjach klubowym spotkaniem na piwie w OSIRze. Następne takie wydarzenie odbyło się 1 października również w OSIRze, a co! Przypomnę Wam jeszcze, że na tym nie koniec, bo piwo do gór pasuje zawsze, a choć gór nie ma na miejscu (może to i lepiej, bo wyobraźcie sobie, gdyby cała Warszawa przeniosła się z miejskich ulic na górskie szlaki), to na piwo i tak warto pójść ☺.

W weekend 20-21 września. Maciek Warchałowski postawił kropkę nad „i” kończąc studia z tytułem magistra leśnictwa. Z tej okazji zorganizował RKS, czyli Rajd Końca Studiów na Lubań. Świętowanie nie obeszło się bez domowej bżówki, która tak rozpalila serca uczestników, że poszli o zakład o to, kto w przyszłym roku wyprodukuje lepszy trunek. Miejszem wydania werdyktu została jednogłośnie wybrana Górczańska Chata. Chyba nie muszę Was więcej zachęcać do śledzenia terminów rajdów Maćka ☺.

Od 1 do 8 października trwał na Kampusie Centralnym UW ostry marketing Kursu. W tym roku niestrudze-

ni w głoszeniu dobrej nowiny byli Magda Czarnecka, Stefi, Grześ Kaczmarek, Michał Wangrat, Ewelina Różańska i Maciek Szuba. Mamy nadzieję, że wielu z Kursantów zachęciłoby do zapisania się na XXXIV KPG i że zechcecie dołączyć także do ekipy biuletynowej ☺.

Żelazo kuć trzeba póki gorące, dlatego spotkania informacyjne dla zainteresowanych SKG odbyły się w dwie środy 8 i 15 października na wydziale Archeologii UW. Jego przygotowaniem zajmowali się Jędrzej Witkowski i Magda Czarnecka, którzy swoim czarem osobistym dodatkowo przyczynili się do cieszącej oczy frekwencji na Manewrach Nizinnych.

A skoro o Manewrach mowa... Organizatorami pierwszego terminu w dniach 18-19 października byli Marek Paleski i Michał Wangrat. Choć rąk do pomocy mieli niewiele, bo pomagali im Pawłowie – Marciniak i Nowakowski, chłopaki świetnie poradzi sobie z całym przedsięwzięciem i bez strat w ludziach przez las przeprowadzili 18 osób. Drugi termin (w którym miałam przyjemność uczestniczyć) wyszedł również pomyślnie. Pieczę nad imprezą sprawowała Ola Kołodziejczyk, Paula Kocot, Maluch i Rafał Olszewski, a towarzyski krąg uzupełniało wtedy jeszcze wiele osób. Podczas gdy prawie 40 kursantów wybrało się w las, ci, którzy się nie wybrali – mimo że początkowo mieli taki zamiar i silną mobilizację – zostali przy ognisku i robili pączki, spełniając tym samym marzenie Gosi Rukasz! Może i wyglądały jak nuggetsy z KFC, ale smakowały absolutnie niepowtarzalnie ☺.



Na manewry...

Jeszcze przed nizinnymi marszami sezon weekendowych jesiennie-zimowych wyjazdów w góry rozpoczęliśmy od Rajdu Jesiennego w dniach 11-12 października, którego organizacją zajął się Michał „Puszek” Pluta. Pluciak niestety nie mógł wziąć w nim udziału i zrealizować trasy *Od Pienin po Krynicę*, niemniej – jak donoszą zaufani świadkowie – rajd udał się wyśmienicie. Świeżo upieczeni po letnim praktykanci (aspirujący do miana przewodników górskich) mieli swój wkład w wyjazd. Ola Kołodziejczyk zaserwowała swoim uczestnikom *Przechadzkę z widokiem na Tatry*, Marek Paleski zabrał swoich *Przez Jaworzynę na Główny Szlak Beskidzki*, a trasa Michała Wangrata wiodła *Od uzdrowiska do zamczyska*. Także Agata Mętlak i Gosia Szczepanek wędrowały i zachwycały się jesienią w górach na wspólnie organizowanym przejściu *Graj w kolory*. Tras było łącznie 5, w tym jedna spoza Warszawy – Maciek Szuba zebrał znajomych z Leżajska, znanych pod nazwą

„Czara Browara” i poprowadził trasę z upragnionym schabowym u celu. A w schronisku z kotleta nici, jakiś gulasz serwowali. . . Inne grupy z pewnością miały podobne ambicje, ale ześrodkowanie na Hali Łabowskiej i tak miło będą wspominać mimo tych drobnych niedogodności.

Czy w Bieszczadach można obchodzić święto odzyskania przez Polskę niepodległości? Pewnie, że można! Na własnym przykładzie udowodnił to Marcin Bruzda, wędrując przez Otryt, Magurę Stuposiańską i Połoninę Caryńską aż po Tarnicę i Bukowe Berdo podczas rajdu *W stronę polskich Kresów*.

Mimo że świat kręcił się tego weekendu wokół polityki, między 15 i 16 listopada Michał Wangrat zachęcał, że o wiele bardziej warto głosować na góry. Udowodnił to swoim rajdem w Beskid Makowski *Głosuję na góry*, podczas którego uwaga wyborców skierowana była także na Magdę „Tygrysa” Czarnecką, obchodzącą wtedy swoje urodziny ☺.



Marek Paleski na głosowanie pewnie zdążył, ale już tydzień później (22-23 listopada) zorganizował *Gorczański Rajd Listopadowy, czyli Śladami Ognia i Liberatora*. Jak sam napisał „rajd jest dla wszystkich, którym nie straszne jest zmęczenie”, a i mocna kondycja z pewnością się przydała, gdyż w dwa dni przeszli 51 km, pokonując 2600 m przewyższeń, czyli 77 gotów w 36 godzin i wszyscy żyją.



Śladami ognia i Liberatora

Choć Rajd Mikołajkowy w tym roku nie wypalił, namiastkę takiej imprezy zafundowali swoim uczestnikom Michał Wangrat i Marek Paleski, zabierając ich na pomikołajkowy weekend (13-14.12) w śniegiem przyprószone Pieniny i Spisz.

Kiedy przewodnicy i aspirujący do tego tytułu praktykanci kulturalnie spędzali czas w górach dbając o komfort wypoczynku i (pełnego brzucha) swoich uczestników, kursanci – oprócz środowych wykładów – mierzyli się z mapą,

kompasem, nocą w lesie i własnymi słabościami. Ale kto by myślał o słabościach i krótkim śnie, kiedy kursówki pozostawiają po sobie tyle wspaniałych wspomnień i ładują akumulatory na kolejny tydzień.



Na kursówce trochę śniegu. . .

Pierwszy wyjazd kursowy był czterodniową eskapadą niepodległościową po Pieninach i Magurze Spiskiej. Z okazji święta narodowego kursanci dwie pierwsze noce spali po 7 godzin, by tej ostatniej nie zmrużyć oka nawet na chwilę. A byli przy tym przygotowani na wszystko, bo według wyliczeń zagryzkowych wyszło im po 18 czekolad na głowę! Te i więcej atrakcji przeżyli wraz z Michałem Bekeyem i praktykującym sztukę instruktorską Yetim. Gorce były celem drugiej kursówki w dniach 15-16 listopada, poprowadzonej przez Jędrka Ochremiaka i Gosię Staroń, także na praktyce instruktorskiej. Natomiast tydzień później (22-23 listopada) Karusia i Marta CobelTo zabrały kursantów w Beskid Sądecki, konkretnie w Pasma Leluchowskie. Oczywiście nie mogło zabraknąć wśród wyjazdów kursówkowych Beskidu Niskiego. W jego zachodnią część w okolicy Wysowej-Zdrój wybrał się na IV kursówkę Paweł Xsiażę Górecki w weekend 28-30 listopada. Piątą kursówkę w Beskidzie Żywieckim prowadziła Ewa Janczarek, Paweł Marciniak i przyszły instruktor Jędrzek Witkowski :). Za to ostatnia, tzw. mrozówka, z inicjatywy Strzelca odbyła się w Beskidzie Niskim (o dziwo! :P).



Klubowy ikonostas

Warto wspomnieć, że – zdaje się – po raz pierwszy w historii SKG w tegorocznym kursie uczestniczy cudzoziemiec – Venkatesh Sonti z Indii, na którego wszyscy mówią Venky. Instruktorzy mówią o nim, że jest ogarnięty, współkursanci darzą go sympatią. Jak wieści donoszą, na pierwszej kursówce Venky opanował już podstawowe na-

zewnictwo – pipant, mordospad (przetłumaczony na piękną angielszczyznę jako facefall), czy serwowany na obiad „siurek z kielbasą”. ☺

22 października nastąpiło uroczyste otwarcie sezonu slajdowisk organizowanych już kilkunasty rok z rzędu. W każdą środę dawkę górskich i podróżniczych przeżyć serwują nam ciekawi goście. Przede wszystkim nie mogliśmy doczekać się naszych klubowych zdobywców – ekipy M4 oraz przewodnika SKG Maćka Szuby z bagażem wspomnień z Maroka. O zdobywaniu Piku Lenina opowiadali bracia Sidorowie, magią pustyni Atakama i peruwiańskich Andów dzielił się wykładowca z Wydziału Geografii – Wojciech Lewandowski, a dwuletnią rowerową podróż po Australii i Ameryce Południowej wspominał zdobywca Kolosów w kategorii „Podróż roku” Mateusz Waligóra. Naszymi gośćmi byli także Adrian Gronek, który samotnie przemierzał pieszko przestrzenie Alaski i tegoroczny laureat konkursu „Miej Odwagę!” – Darek Dudzik, który wraz z przyjaciółmi spłynął kajakiem potężną Leną.



Niektórzy spotkali przybyszy z odległej galaktyki, ale „Krew jest najważniejsza, Imperium może poczekać”

W sobotę 6 grudnia z okazji Mikołajek Maciek Szuba już po raz drugi zgromadził krwiodawców w Centrum Krwiodawstwa na Saskiej w ramach akcji „Polary czerwone jak KREW”. Jak się okazuje, nic nie dzieje się bez przyczyny, bo choć i tym razem frekwencja nie była powalająca (ludzicha co z Wami? ☺), to Kaja Rafińska i Grześ Bokota odważyli się i oddali krew po raz pierwszy.

To już kolejny rok, kiedy SKG uczestniczy w 11. War-

szawskim Przeglądzie Filmów Górskich organizowanym w kinie Wisła przez wydawnictwo Annapurna. Jak zawsze niezawodnym koordynatorem pomocy w sprzedawaniu górskich książek (i oglądaniu filmów i prelekcji za friko) był Adam „Yeti” Cieślik.

10 grudnia na Walnym zebraniu członków, któremu przewodził Jędrzej Ochremiak, zgromadziło się wywalczone kworum. Wśród krążących po okręgu paluszków i ciastek słuchaliśmy sprawozdań, dyskutowaliśmy i głosowaliśmy za podjęciem nowych uchwał. Stary zarząd dumnie schodził z piedestału władzy, a wzrok Grażyny spoglądał na koszulkę dla „Najlepszej Prezeski”. Przez chwilę tylko zapanowało bezkrólowie, by nowa pani prezes – Paulina Kocot dobrała sobie do współpracy nowy zarząd w składzie: Magda Wierzbicka, Ewelina Różańska, Michał Wągrat i Paweł Nowakowski. Na łamach Biuletynu bardzo dziękujemy ustępującym władzom za owocną pracę w minionym roku, szczególne uznanie należy się przede wszystkim Grażynie za jej zaangażowanie, cierpliwość i wytrwałość w dążeniu do realizacji zobowiązań, a jednocześnie za pracę całego zarządu w fajnej atmosferze ;). Tego samego życzymy nowym władzom – czerpcie przyjemność z rozwijania Klubu i robienia dla jego członków czegoś dobrego. Gratulujemy! O przebiegu zebrania możecie przeczytać (a ci, którzy na Walne nie dotarli, wręcz powinni :)) w spisanim przez Maję Stelmach protokole na klubowym forum, jednak podejrzewam, że tej informacji może nie uwzględnić, dlatego pozwolę sobie na jej publikację – statutowa zmiana ustępu odnośnie usuwania członków za niepłacenie składek wywołała niemały popłoch wśród zgromadzonych.

A co przed nami?

- Wigilia i jasełka 17.12. ☺
- Sylwester 27.12. – 1.01 w Szczytku
- Zimówka
- Karnawałówka
- Super goście na slajdach. . .
- Kurs Wysokogórski w Tatrach.



25 lat Bazy Namiotowej w Podwilku na Orawie

Paweł Staniszewski

Pamiętam to bardzo dokładnie – kiedy to było? Przedwczoraj? Tydzień temu?... Lipiec 1989 roku... Swój „dyplomowy” obóz wędrowny kończyłem na Bazie Namiotowej w Podwilku. Nie byłem tam wcześniej, pierwsze w historii rozbijanie Bazy mi jakoś umknęło. Czy mogłem wówczas przypuszczać, że 25 lat później – jako opiekun Bazy i chorobliwie uzależniony bywalec – będę pisał o jej tak okrągłym jubileuszu? Niemożliwe! Przecież – jak mawiał (znany starszym Klubowiczom) Łaskawca – „ludzie tak długo nie żyją!”. A jednak...

Minęło jak z bicia strzelił...

Były liczne kryzysy i dyskusje dotyczące istoty prowadzenia Bazy przez SKG – a Baza żyje...

Pojawiała się krytyka kontrowersyjnej dla niektórych lokalizacji („dlaczego nie w Bieszczadach?”) – a Baza żyje...

Turystyka kwalifikowana w Beskidach zdycha – a Baza żyje...

„Nadbazowy” się starzeje – a Baza żyje i jest wciąż młoda...



Na obchodach

Obchody jubileuszu 25-lecia Bazy rozpoczęły się już przed sezonem, 24 maja. Na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej, na Polanie Opaleń, zorganizowaliśmy uroczyste ognisko. Uczciwie mówiąc, to nie „śmy”, tylko Karusia jednoosobowo... W każdym razie była moc atrakcji, konkursy z nagrodami, pokaz slajdów z dawnych lat, a przede wszystkim – pojawiło się mnóstwo osób związanych z Podwilkiem. Nie sposób wymienić wszystkich, ale muszę wspomnieć przynajmniej o Szanownych Założycielach Bazy – Butoldzie i Rapsodku, a także o wieloletnim Nadbazowym – Wężu „Wiesławie” O. Pojawił się nawet legendarny Bogdan B. (dawniej znany jako BBJ) – postrach kursantów z czasów, których nawet ja nie pamiętam.

A potem – jak zwykle w ostatni weekend czerwca – rozpoczął się kolejny sezon.

Wbrew wszelkiej logice Baza funkcjonuje coraz lepiej

– od wielu lat obserwujemy coraz większą frekwencję, nie tylko stałych bywalców, ale także indywidualnych wędrownych turystów i zorganizowanych grup. Nie zamierzam tu zamieszczać szczegółowej statystyki, wspomnę tylko, że jubileuszowy sezon okazał się kolejnym rekordowym – przekroczyliśmy magiczną liczbę 300 gości! Jednocześnie na Bazie było w pewnym momencie ponad 60 osób! Mimo takiego tłumu wszystko świetnie funkcjonowało, a jedynym problemem były zapisy na trzeci kwartał w kolejce do wiadomego miejsca... Aż się boję, co będzie w przyszłym roku...

W ciągu ostatnich kilku lat na Bazie zaszło sporo zmian. Nowe NS-y mają kolor, który w założeniu prawdopodobnie miał być ochronny, w rzeczywistości przypomina... nie, nie będę pisał, co przypomina – skojarzenia bywają dość osobliwe. Kto ciekaw, niech sprawdzi. Wiata, wielokrotnie remontowana, zachowała tylko (aż?...) jedną ścianę, będącą reliktem konstrukcji z 1989 roku (nota bene, stoczyłem o jej pozostawienie krwawą batalię z głównym konstruktorem, Tomkiem Z.). Najbardziej spektakularną rewolucją było zrezygnowanie z corocznego rytuału kopania dołu na śmieci i zastąpieniu go prozaicznym, pozbawionym romantyzmu, ale nader praktycznym plastikowym kontenerem, sukcesywnie opróżnianym przez firmę z Jabłonki. Kopanie dołu na śmieci od wielu lat było czynnością zarezerwowaną dla Prezesa Klubu – zatem proszę, jacy jesteśmy genialni! Przewidzieliśmy, że Prezesem wkrótce będzie kobieta...

Nowoczesność nowoczesnością, ale staramy się jednak kultywować tradycję. Podczas jednego z poważnych remontów wiaty, nie skorzystaliśmy – być może pochopnie – z oferty pobłażliwie obserwującego nasze poczynania pana Ludwika: „Ja bym wam tu taki pikny domek z pustaków postawił!...”

Pewne elementy krajobrazu Bazy są na szczęście stałe. Niezmiennie przyjeżdża na Bazę pan Janusz, nadal funkcjonuje boisko do badmintonu, a pod wiatą kwitnie hazard... Niezmiennie są także wschody księżycy w pełni, obserwowane z bardzo szczególnego miejsca... Niezmiennie jest rywalizacja o prymat króla grzybobrania – na przełomie lipca i sierpnia z udziałem Helmutha, a pod koniec sierpnia – Beaty i Jurka... Niezmiennie jest brak rywalizacji, kto zbierze najwięcej malin, w tym bowiem zakresie Żyrafa nie ma konkurentów. Również poranny wyścig do pieca (kto pierwszy rozpali?) od lat nie ma większego sensu, bo wiadomo, że wygra Marek...

Oj, trochę się zagalopowałem – przecież to, co napisałem przed chwilą, jest kompletnie niezrozumiałe dla osób, które jeszcze w Podwilku nie były... No to przyjeźdźcie! Skosztujcie tego specyficznego klimatu, który jednych zaraża i uzależnia, a inni nie mogą pojąć, czym się ta banda świrów zachwyca i zastanawiają się, co też można robić w takim miejscu dłużej niż kilka godzin. Mam nadzieję, że dołączycie do tych pierwszych. ■

Z pamiętnika Kursanta XXXIV KPG

6:30, dzwoni budzik, myślę: "Jeeezuu! kiedy obudzę się wyspana. Protest! Nie idę do pracy!" i przykrywam głowę poduszką. Ale zaraz! Idę do pracy tylko przeczekać, bo obok już stoi plecak pełen przygód. Z niecierpliwością więc wyskakuję z łóżka i zmęczenie już nie jest ważne, o niczym innym nie myślę jak o tym, że za parę godzin wsiądę w pociąg ze wspaniałymi ludźmi i ruszymy po kolejną porcję wrażeń. To nic, że będzie ciężko, zimno, ciemno, mokro, patyki będą w oczach i we włosach, a skóra na rękach popęka od mrozu i łamania drewna i do tego to sikanie pod krzakiem... To wszystko jest nieważne kiedy dzielisz swój los, swoją herbatę, jedzenie i ciepło, z ludźmi żyjącymi w taki sam sposób. Ktoś może pomyśleć: wariaci, bo przecież kto normalny śpi w letnim śpiworze przy -5, rozbija namiot na owianej ze wszystkich stron polanie, je owsiankę z patykami i łązi po krzakach o 1 w nocy zamiast grać swój tyłek pod kołdrą z pierza. No właśnie nikt inny jak SKG! I dlatego kurs jest taki ekscytujący!

Marta Sikora



Smacznego



Padnięci po marszu

Tak, jak dopiero mając przemoczone buty w górach przypominam sobie o tym, że miałem je zaimpregnować, tak dopiero po powrocie przypominam sobie, że miałem coś naskrobać będąc jeszcze na miejscu. Zawsze o tym zapominam. A dlaczego chcę to zrobić?

Pomyślcie, jak by się to różniło od tego, co wymyślę teraz. O czym bym pisał wtedy? O tym, co widzę, czuję. Co słyszę. O czym myślę. Zapachy! Smaki... I bynajmniej nie składało by się z samych „ochów” i „achów”. Wręcz odwrotnie! Opisałbym paskudnie kwaśne owoce tarniny (tfu!), którymi częstował nas Paweł, o smaku „gorącego kubka” w herbatie (i o patyczkach!). Albo o posolonej herbacie (następnym razem trzeba wziąć cukier trzcinowy – ponoć jest brązowy :)).

Chociaż pewnie większość tekstu zajęłyby narzekania, jak mi jest zimno. Albo gorąco! Na kursówce zawsze albo jest za zimno, albo za gorąco. Nigdy „tak akurat”. Przemoknięte buty, zmarznięty nos, policzki. Marznięcie na każdej przydługiej przerwie. Lodowata woda ze strumienia. A gorąco? Przy każdym większym podejściu, przy rodmuchiowaniu ognia, mieszaniu w garze pełnym zupy. I dym szypiący w oczy!

I to buraczenie po krzakach. Po lesie. Albo nawet bez buraczenia, ale i tak nic nie widać. Bo ciemno! I zimno.

A zapachy? Dym. Skarpety... Starczy. Nie ma co się rozwodzić. Jak bym pisał na miejscu – wszystko to by się w tym tekście znalazło.

I jak to jest, że po powrocie chcę napisać: było ekstra. Że świetna zabawa. Wspaniała przygoda! I w ogóle już wspomniane „ochy i achy”.

Tak to już chyba po prostu jest. Najlepiej się wspomina trudne chwile. Chwile, które się przetrwało z innymi, często niedawno poznanymi ludźmi. Wtedy się nawiązuje prawdziwe przyjaźnie. Jak to mawiał Forest Gump „Nie żebym się na tym znał, ale...” tak to już chyba po prostu jest. I niech tak zostanie!

Tomasz Rutkowski

Relacja z II kursówki

Mija kilka dni od zakończenia naszego wojażu, zdążyłam odespać i dojść do siebie, więc zabieram się za napisanie krótkiego tekstu o II kursówce w Gorcach!

piątek

Zbiórka na Zachodnim. Damian utknął w miejskiej dżungli, w ostatniej chwili zrobił „wejście smoka” i szczęśliwie w komplecie ruszyliśmy na południe!

sobota

Dojechaliśmy do Nowego Targu. Ania sprawnie nami kierowała do Kluszkowiec. Podróż minęła nam bardzo przyjemnie na gawędzie z tutejszymi góralami i górkami. Na ostatnim przystanku wysiedliśmy i zaczęła się nasza właściwa podróż. Na pierwszy ogień poszedł Damian, potem na pożarcie rzucono mnie! Podobno nadaliśmy bardzo szybkie tempo, gdyż zamiast na Górze Gierowej znaleźliśmy się... no właśnie - gdzie?! Ups, czyżby to już Pasma Lubania...? Teraz wydaje mi się to całkiem zabawne, ale pamiętam, że wtedy w ogóle nie było mi do śmiechu! Od tego momentu wolniej, bardziej grzbietem i częściej spoglądając na mapę kierowaliśmy się dalej na północ. Zaczyna się ściemniać. Czas na ognisko! Jedni po wodę, drudzy do garów, inni jeszcze gdzieś indziej. Wspólnymi siłami zrobiliśmy najpyszniejsze danie pod słońcem! Ola doprowadziła nas do pogadali, tyłki ogrzali - czas ruszać dalej, przecież ciemność nam nie straszna! Ola doprowadziła nas do cywilizacji, po czym Mikołaj szybko nas z niej wyprowadził. Podejście potwornie strome, nie wiedziałam, że takich nachyleń można doświadczyć w Gorcach! Jednak każdy starał się wędrować jak najszybciej - w końcu przyświecał nam wspólny cel - ciepły śpiworek i chociaż krótka chwila snu. Dotarliśmy do przełęczy, która tej nocy stała się naszym polem biwakowym. Dobranoc!

niedziela

Jeszcze 5 minut, błagam! Ewa nie miała litości... Cóż, wstaliśmy, zjedliśmy śniadanko i w drogę! Cel: dotarcie do Kamienicy. Niby wszystko układało się po naszej myśli, ale nagle zorientowaliśmy się, że nie zostało nam zbyt wiele czasu, a miejscowości na horyzoncie jeszcze nie widać. Pełna mobilizacja, tempo, raz! Chyba część z nas mogła zacząć wątpić czy aby zdążymy. Jednak szczęście nam sprzyjało, udało się na czas dojść na przystanek w Kamienicy. A w Krakowie? Już czekała na nas pyszna pizza. Zakupowicze w Krakowskiej rzucali w nasze strony dziwne spojrzenia, jednak jestem przekonana, że to nie nasze "czyste i pachnące" ubrania zwracały ich uwagę, ale szczęśliwe twarze po tej górskiej wyprawie! :-)

Katarzyna Sęplawska



Jeszcze nie wiedzą co ich czeka...

Letnie XXXIII KPG

Malowane monastyny i wysokie góry

Grzegorz Bokota

Wspomnienia te piszę kilka miesięcy po zakończeniu wyjazdu. Być może niektóre szczegóły zatarły mi się w pamięci. W trakcie wyjazdu nie robiłem żadnych notatek.



Ekipa z Rumunii

Tegoroczne letnie było późno organizowane. Pierwsze ogłoszenie, że jednak wyjazd się odbędzie, pojawiło się na początku lipca. Potem jeszcze trzeba było poczekać na wypowiedź instruktora i przydział zadań. Dodatkowo pojawiły się pewne opóźnienia i przez to promocję przejścia zaczęliśmy dopiero na dwa i pół tygodnia przed wyjazdem. Mimo to, pojechały 4 osoby nie biorące udziału w egzaminie, w tym dwie nie związane z kursem. Egzamin odbył się na południowym skraju Bukowiny Rumuńskiej i w górach Bystrzyckich (Munti Bistrei). Na wyjazd jako waleci pojechali: Monika Biederman, Magdalena Czarnecka, Paweł Nowakowski i Dominika Pszczółkowska. W roli kursantów wystąpili: Grzegorz Bokota, Jan Górski, Michał Górski, Ola Kołodziejczyk, Janusz Paczesny, Marek Paleski, Michał Stachura, Michał Wangrat. Przejście poprowadzili Paweł Marciniak jako instruktor i Maciek Warchałowski jako praktykant. Egzamin zaliczyli: Ola, Marek, Michał G., Michał W. To chyba wszystkie informacje, które obowiązek kronikarski każe podać.



W pociągu

Jeśli Czytelniku jesteś kursantem, który jeszcze nie był na letnim to pamiętaj: instruktor nie widzi wszystkiego, czasem wychodzi to na twoją korzyść, czasem wręcz przeciwnie. Więc, parafrazując klasyka, „letnie to jest teatr” i warto to zapamiętać.

Jeśli twoja droga zaprowadzi Cię do Lwowa, to zaplanuj sobie trochę czasu na jego zwiedzenie. Można do tego skorzystać z tramwajów, są śmiesznie tanie, ale też wolne. My ze Lwowa ruszyliśmy do Czerniowców placartą (koleją) – zupełnie inne warunki i wrażenia niż z jazdy po Polsce. Każdy z pasażerów miał swoje miejsce leżące, a dodatkowo „przedziały” nie były oddzielone żadnymi drzwiami od przejścia. Miejsca na bagaże były pod dolnymi pryczami i jak ktoś na takiej spał to nie dało się do nich dostać. Polecam spróbować.



Ściana cerkwi w Manastirea Humorului

Pierwszy dzień w Rumunii był poświęcony na zwiedzanie. Głównym naszym celem były dwa malowane klasztory: Manastirea Humorului i Voronet. Oba były dla mnie nowym poziomem biblii pauperum, bowiem klasztory są wymalowane nie tylko od środka, co można spotkać w Polsce, ale również na zewnątrz. Również nowe cerkwie nawiązują do tego zwyczaju – w środku są całe pokryte freskami, a na fasadzie znajdują się pojedyncze obrazy.



Obiad pod hotelem Rarau

W trakcie zwiedzania natrafiliśmy na ślady Polonii i spotkaliśmy jedną Polkę, mimo że znajdowaliśmy się na

południe od głównych skupisk Polaków. Według tego co mówią mapy, jest wiele ciekawych tras zahaczających o polskie wsie w tamtym rejonie.

Drugiego dnia już wyruszyliśmy w góry. Na pierwszy ogień poszedł Masyw Rarau-Giamalau, wyposażony w dość bogatą infrastrukturę turystyczną, a do hotelu, stojącego niedaleko szczytu Rarau, jest doprowadzona droga asfaltowa, z której chętnie korzystają miejscowi. Gdy chcieliśmy zostawić plecaki i zdobyć szczyt na lekko to obsługa hotelu się nie zgodziła, ale właściciel stojącego niedaleko domku przyjął je chętnie. Warto pytać.



Posiłek instruktorski w Cabana Zurgeni

Następnego dnia zdobyliśmy szczyt Gimalau i opuściliśmy ten masyw. Po drodze wypadł nam postój w Cabana Zurgeni. Mimo, że bardziej przypominała ona hotel niż schronisko, to właściciele pomogli nam ugotować nasz posiłek. Instruktorzy stwierdzili, że oni jednak coś zamówią i z perspektywy czasu to chyba był dobry pomysł.



Gotujemy obiad w górach. Można zobaczyć mgłę

W czasie naszego pobytu w schronisku przyszedł ulewny deszcz. Od następnego dnia zaczął się cykl: dzień brzydki, dzień ładny. Do tej pory mieliśmy piękne słońce. Skorzystaliśmy z rozkładowego połączenia autobusowego. To był pierwszy raz gdy zorientowaliśmy się, że przewoźnicy dość dobrze dostosowują tabor do zapotrzebowania, ale nie wyciągnęliśmy z tego wniosków. Warto zadzwonić wcześniej i powiedzieć, że będzie jechała duża grupa. Tym razem się udało, ale w drugim przypadku kierowca powiedział, że ma za dużo pasażerów i nas nie weźmie.

Następnego dnia było mgliście, ale nie padało. Warto wspomnieć o pierwszym spotkaniu z psami pasterski-

mi. Wyczuły nas z daleka i zablokowały trasę. W takim wypadku należy zbliżyć się w ciasną grupę, przygotować kamienie, wystawić kije trekkingowe i czekać na przyjście pasterza. Tym razem było to dziecko mniejsze niż każdy z psów i mimo, że dziwnie to wyglądało, to mały pasterz poradził sobie z wielkimi psami doskonale.



Nad chmurami



Niektóre psy były na tyle małe, że na swój sposób zagroziły spójności grupy



Ostatni etap Rajdu Makreli. Janusz biegł grając cały czas.

Następnego dnia odbył się zainicjowany przez Maćka Rajd Makreli, czyli seria trzech wyścigów, kto pierwszy na szczycie. Była to fajna zabawa, nawet dla samych kibiców. Nagrodą była puszka makreli. Do tego kupiliśmy od miejscowych biały ser. Był dobry, ale są podejrzenia, że u nie których wywołał sensacje żołądkowe. Na szczęście pomocny okazał się wywar z krzaków jagody.

Trzeciego dnia w masywie Budacului znowu zastała nas brzydka pogoda, więc po zwalczeniu wcześniej opisanych problemów parliśmy do przodu. W sumie poza kilkoma niedogodnościami jak mózgostopie, czy brak w miarę suchego miejsca na obiad, nie zapadło mi nic w pamięci.

Ostatniego dnia w górach była piękna pogoda. Mieliśmy okazję pobuszować w jeżynach, wysuszyć rzeczy przed

powrotem (suchy namiot waży dużo mniej). Wszystkim humor dopisywał. Natknęliśmy się na poidło dla krów, więc skorzystaliśmy i wzięliśmy kąpiel. To jest piękne uczucie umyć głowę po takim czasie (wcześniej nie było jak).

W trakcie powrotu, gdy już wszystko było wiadome, instruktorzy przekazali prowadzenie Monice i Pawłowi Nowakowskiemu. Szczególnie dla Moniki, jako waleta, było to nowe doświadczenie. Z powrotu dobrze wspominam ukraińską restaurację w Czerniowcach, gdzie za dość niskie ceny było świetne jedzenie.

Ostatnie co zapadło mi w pamięci, to moment gdy wyjeżdżaliśmy ze Lwowa – wtedy minęła nas wojskowa kolumna jadąca na wschód. . . ■

Duńskie cuda i dziwy

Ewelina Różańska, Maciek Szuba

Uprzedzamy na początku, że ten artykuł nie będzie o górach. Nie padnie też w nim choć jedno słowo, mogące się z nimi kojarzyć. Niemniej to Góry Skandynawskie były celem, do którego podążaliśmy w trakcie półtoramiesięcznych wakacji.

Danię chcieliśmy potraktować bardzo powierzchownie – zmierzając na Północ planowaliśmy przejechać ją tranzytem, zahaczając jedynie o dwa miejsca – muzeum wikingów w Roskilde oraz Kopenhagę. Losy autostopowiczów bywają jednak bardzo zaskakujące – to wielka loteria, w której możesz wygrać niepowtarzalne momenty w życiu, to nieoczekiwane zwroty akcji, to prawdziwa przygoda. Podróżując w ten sposób mieliśmy niepowtarzalną okazję poznania tego małego kraju od podszewki, przede wszystkim za sprawą spotykanych po drodze ludzi.



Złapany na stopa trabi

Pragniemy podzielić się z Wami kilkoma ciekawostkami, które – przy pierwszym w życiu pobycie w Danii – ogromnie nas zaskoczyły. Pierwszą z nich są właśnie ludzie. Nie nazwalibyśmy ich ciekawostką, lecz ewenementem. Podczas gdy Skandynawów uważa się za zimnych, zamkniętych w sobie smutasów, Duńczycy są kompletnie inni. Trzykilometrowa cieśnina oddzielająca Danię od Szwecji robi naprawdę dobrą robotę. Ludzie na półwyspie Jutlandzkim i pobliskich wyspach są niezwykle otwarci, życzliwi, pomocni, bezinteresowni, ufn i radośni. Po prostu południowcy na północy Europy. Mimo że w ich ży-

łach także płynie krew twardych Wikingów nie do zardcia, mają w sobie mnóstwo empatii, z której chcą być znani i rozróżniani na tle innych krajów. Żeby nie być gołosłownymi, podamy kilka przykładów na to, że *If you smile to the world, the world will smile back to you!* Gdy kierowca Søren dowiedział się, że jesteśmy autostopowiczami, wyjaśnił, że także parał się tą formą transportu całkiem niedawno. Wracając z Chorwacji czekał pod Ratyzboną 7 godzin, aż wreszcie ktoś go zabrał. Znał więc tę wadliwą stronę autostopowej przygody, dlatego zdecydował, że... pożyczmy nam swój samochód, żebyśmy mogli wygodnie dotrzeć do celu i pojechać na samą północ kraju, na półwysep Ska-gen, gdzie fale Morza Północnego zderzają się z falami Bałtyku. Wcześniej zatankował wóz do pełna, zaprosił na nocleg w swoim domu, nic nie chcąc w zamian. Innym razem podrzucił nas starszy hipis, który dowiedziawszy się, że interesujemy się Wikingami, polecił nam Lejre jako dawną wikingijską stolicę pełną śladów ich bytności. Na poleceniu się nie skończyło, ponieważ hipis zaoferował nam zatrzymanie się na XVII-wiecznej farmie w Lejre, na której sam kiedyś mieszkał, a na której obecnie żyją jego przyjaciele. Ci bez problemu zgodzili się nas ugościć. I tak się stało – gdy zajechaliśmy na miejsce, zostaliśmy bardzo serdecznie przyjęci przez zupełnie obcych ludzi. Udostępnili nam uroczy pokój, pożyczili własne rowery, na których zwiedzaliśmy pagórkowatą okolicę usianą podobnymi farmami, w których dla przyjemności trzymane są konie rasy islandzkiej i kędziorkowate owce. Mmmeee!



Zamek piratów Nimis w Szwecji

Do samego Lejre trafiliśmy autostopem, a podrzucił nas wielce ciekawy człowiek – samochód miał zawalony kegami i butelkami z piwem, wkrótce okazało się, że jest właścicielem lokalnego browaru na południu Zelandii, w którym nas niewiele myśląc zatrudnił. Browar znajdował się w starych budynkach przejętych po wojsku: butelki stały tam, gdzie kiedyś parkowały czołgi, piwo warzyło się w dawnej zbrojowni, a dojrzewać miało w bunkrze na amunicję. Klimatu miejsca dopełniał piwowar – Niemiec Alex, który oprowadzając nas po obiekcie, zapraszał: *Let's go cu ze Bunker!*



W browarze Kongebryg

Nie odstępującym nas na krok elementem duńskiego krajobrazu wiejskiego były kurhany. Przyznać trzeba, że w Polsce raczej mało powszechny jest widok z jadalni czy innego pomieszczenia w domu na grobowce sprzed nawet 5 tysięcy lat – bo pochodzą one nie tylko z epoki wikingów, ale i z żelaza i brązu! Za to w Szwecji kurhany są tak częstym widokiem, że nie darzy się ich należytą dbałością, lecz pozwala się by na nich pasły się konie i owce. Jeśli grobowce znajdują się na ziemi właściciela, de facto do niego należą.

Wikińskie tradycje są nieodłącznym elementem życia Duńczyków – symbol wikinga, triskelu – trzech splecionych trójkątów, rogatego hełmu czy charakterystycznego drakara, czyli długiej łodzi, można napotkać gdziekolwiek się nie spojrzy – w markecie, w łazience na suszarce do rąk, w budownictwie (słyszeliśmy o dziennikarzu, który zbudował sobie dom przypominający wikińską hallę wodza osady albo odwróconą łódź). Ciekawymi wydały się nam nazwy miejscowości, wszystkie bardzo podobnie brzmiące, biorące swój rdzeń od ulubionego duńskiego króla – Frederika. Stąd Fredericia, Frederikshavn, Frederikssund, Frederiksværk itp. To jak powtarzający się w Polsce człon np. wola ☺.

Ciągnąc wątek historyczny, wspomnimy o dumie, jaką napawa Duńczyków ich flaga. Historia mówi, że jest ona najstarszą flagą w Europie. Według legendy spadła z nieba w 1219 r. w czasie krucjaty duńskiego króla do Estonii. Z nią w rękę wygrał bitwę niedaleko Tallina. Współcześni na stałe wieszają flagi na masztach w swoich ogrodach, a przy uroczystościach – nie tylko państwowych, ale także rodzinnych – zawieszają większe flagi i wtykają proporzki w tort urodzinowy, co zaobserwowaliśmy w domu zaprzyjaźnionej rodziny w Lejre. Jednak gdy urodziny się skończą, a duża flaga wciąż powiewa, obywatele mają pra-

wo zwrócić uwagę właścicielowi, żeby uszanował symbol narodowy i zdjął flagę z masztu!



If your Dad doesn't have a beard, you've got two mums

Na deser zostawiliśmy dla Was temat łączący kultury i pokolenia – JEDZENIE! Duńczycy są absolutnie ześwirowani na punkcie jedzenia. Zarówno jego przygotowania i spożywania, jak i tego, co jedzą. Posiłki uważają za niezmiernie istotną część ich życia. Są czasem odpoczynku i bycia razem. Łączą. Pewnego popołudnia widzieliśmy, jak rodzina, u której pracowaliśmy na farmie, wróciła do domu z miskami z gotowym obiadem. W ich społeczności powstał pomysł, żeby raz w tygodniu przygotowywać podwójną porcję posiłku – dla dwóch rodzin, własnej oraz innej, zaangażowanej w projekt. W następnym tygodniu nie martwimy się o obiadek, ponieważ rodzinka, której zaszerwowaliśmy tydzień wcześniej nasze danie, częstuje nas teraz swoim. W przedsięwzięcie zaangażowanych jest kilka rodzin i świetnie zdaje to egzamin. Ludzie się lepiej poznają, dzielą kulinarnym doświadczeniem, stosując się jednocześnie do zaleceń znajomych – niektórzy jedzą tylko ekologiczne czy bezglutenowe produkty. A jeśli o ekologicznej żywności mowa, można by było się rozwódzić na ten temat w nieskończoność. Mimo podatków wysokości niemalże 50%, Duńczycy bardzo dobrze zarabiają, dlatego stać ich na drogie produkty organiczne. W Christiani, hipisowskiej dzielnicy Kopenhagi, poznaliśmy Liselotte, która pomimo braku pracy i bardzo skromnego życia, robiła rosół wyłącznie z kurczaków pochodzących z fair trade farms. Kurczak osiąga tam tak zawrotne ceny, że jest droższy od wołowiny i baraniny! Większość z mieszkańców Danii przywiązuje do tej kwestii tak dużą wagę, że mimo że jabłonie rosną u nich na potęgę, jabłka sprowadzają z ekologicznych plantacji z... Patagonii. A choć grzybów w swoich lasach mają bez liku, z braku tradycji grzybobiorów, kupują polskie pieczarki i inne grzybki, których w Polsce nie uświadczymy, bo eksportowane są w świat nie znający innych gatunków grzybów.

Szkoda, że nie są świadomi, że producenci nie zawsze postępują uczciwie. Na własne oczy widzieliśmy w supermarketach leżące obok siebie ogórki w dwóch różnych cenach. „Zwykłe” kosztowały 4 korony, a te pochodzące z upraw ekologicznych już 10 (1 DKK = 0,56 zł). Byliśmy także świadkami uprawy ekologicznej, trafiwszy – jak to często bywa – przypadkiem na jedną z farm w południowej Szwecji, na których zatrudniani są sezonowo bądź na stałe

Polacy i Litwini. Pomijając fakt, że ludzie są tam traktowani przedmiotowo, latami przesiadują w jednym miejscu, przemieszczając się między barakami mieszkalnymi a polem lub szklarnią, gdzie oddychają obornikiem, nie znając języka, a nawet nie próbując go poznać, są skazani na to miejsce, ogołacani z godności, i człowieczeństwa. Niby zarabiają 2 razy więcej niż w kraju, ale co to za życie niewolników pomidorów? Wracając do wątku – na jednym polu rosną owe ogórki. Podczas zbiorów są rozdzielane i część z nich oznaczona zostaje nalepką z napisem Eko. I tak to wygląda. Nie chcemy twierdzić, że wszędzie, ale w Szwecji na pewno tak.



Maciek na farmie

Aby jakże przyjemny temat jedzenia zakończyć miłym akcentem, wyimaginujcie sobie, że duńskie dzieci nie przyносят do szkoły na urodziny cukierków, ale warzywa, na przykład pomidorki koktajlowe albo paprykę z własnej szklarni. Żeby zniechęcić dzieci do słodyczy w marketach można kupić bakalie pakowane w pudełeczka jak do zapalek. W rodzinie, u której spędziliśmy jakieś 10 dni, była trójka dzieci od 3 do 8 lat. Dietlev, Anne Marie i (tu pamięć zawodzi) łącznie jadły mniej słodyczy niż Ewelina... Duńskie specjały, jakich mieliśmy okazję spróbować za sprawą ich mamy – Johanne, to klopsy z baraniny w sosie śmietanowo-cebulowym, towarzyszą każdego śniadania – owsianka, oraz żółty, z natury cuchnący ser. A na deser pyszna papka z rabarbaru ze śmietaną lub koldskål, czyli mleczny koktajl z sokiem z cytryny i prawdziwą startą laską wanilii z maślanymi ciasteczkami kammerjunkerem, smaczos ☺. Jak na tak morski kraj mieliśmy mało styczności z rybami, które dla Danish people są także bardzo drogie. Za to syrop klonowy i egzotyczne przyprawy, w Polsce nadal luksusowe jak za czasów Vasco da Gamy, w Danii są śmiesznie tanie. Nie powiedzieliśmy jeszcze o lukrecji, będącej kulinarnym symbolem Skandynawii. Jest to roślina występująca na południu Europy i w Azji. W jej korzeniu zawarta jest substancja o anyżkowo-pieprznym smaku, który spotkać można w wielu produktach spożywczych całej Skandynawii, od czarnych jak węgiel żelków, przez lody, cukierki, ciasteczka, po herbatę, tytoń i alkohole.

Gdy już się najedliśmy, pora się trochę poruszać. Duńczycy nie mają z tym problemu, bo wiedzą, że w zdrowym

ciele zdrowy duch. Dlatego nierzadkie są widoki joggin-gującej wzdłuż wybrzeża grupki pań na emeryturze, albo mam biegających ze swoimi córkami, bądź wyprowadzania konia na rowerze (w sensie koń na własnych nogach, a człowiek na rowerze) ☺. W pagórkowatej okolicy Lejre na największej duńskiej wyspie Sjælland (Zelandii) co i rusz napotykalismy kolarzy.



Christiania – hippisowska dzielnica Kopenhagi

Z drugiej strony, gdy starsi ludzie nie mają już na nic siły, kwateruje się ich w domach spokojnej starości. Te domki tworzą niewielkie osiedla w spokojnej części miasta, są parterowe, wyposażone we wszelkie udogodnienia, każdy starszy człowiek ma przydzieloną opiekunkę, przez duże okna obserwują spadające z drzewa jabłka i ganiające się koty. Wygląda to tip-top, ale serce się kraje na myśl, że takich miejsc – choć luksusowych, ale smutnych – jest na świecie tysiące.

Warto nadmienić, że Dania to jeden z najmniej religijnych krajów świata – co prawda wiele osób należy do duńskiego Kościoła protestanckiego, ale łączą to raczej z uczuciami patriotycznymi niż duchowością. Z tego powodu zwiedzanie kościołów stanowi nie lada problem, większość jest bowiem otwarta jedynie przez chwilę w niedzielę, a do katedry w Roskilde wstęp jest płatny.

No dobra – będzie też coś o górach, właściwie to górkach. Najwyższy szczyt Danii jest kontrowersyjny, ponieważ o to miano rywalizują dwie moreny na półwyspie Jutlandzkim. Naturalnie najwyższym wzniesieniem jest Møllehøj, osiągający niebagatelną wysokość 170,86 m n.p.m. (zauważcie zadziwiającą dokładność, walczą o każdy centymetr!). Konkuruje z nim oficjalnie uznany za najwyższy szczyt Danii Yding Skovhøj (duń. skov – las, høj – wysoki) o niemniej imponującej wysokości 172,54 m n.p.m. Jednak na jego szczycie znajduje się kurhan z epoki brązu, bez którego wzniesienie ma jedynie 170,77 m n.p.m., a co za tym idzie Møllehøj jest wyższy od Yding Skovhøj o... 9 cm! Poza oficjalnie najwyższymi szczytami, Duńczycy są dumni ze wzniesienia Himmelbjerget (Góra Nieba, bagatela 147 m n.p.m.), pod które można dopłynąć łódką, wejść po schodkach na szczyt, tam wspiąć się na platformę widokową i podziwiać otoczenie. Cóż, niewielki to kraj, także i górki nie są tam szczególnie wyniosłe. ■

M4 Kaukaska Erupcja

Małgosia Grabowska, Magda Czarnecka, Magda Wierzbicka, Michał Wangrat. Ekipa „M4 Kaukaz”

Smak wędrówek alpejskich nie opuści do końca życia tych, którzy go raz zakosztowali. Nieraz zbudzi ich ze snu dręczącą wyrazistością wspomnienia, nieraz wśliznie się w rytm codziennych spraw, przesyje iskrą młodzieńczego porwy, skieruje ku wielkim, nieznanym szlakom.

W. Żuławski /Przed 1957/

Jesteśmy bez wątpienia pasjonatami gór, a ostatnio zapalaliśmy miłością do gór wysokich.

Pozналиśmy się na kursie przewodników organizowanym przez SKG. Wspólne znoszenie niewygód tak nas zbliżyło, że postanowiliśmy związać się liną. Mieliliśmy już wcześniejsze doświadczenia wysokogórskie. Byliśmy w Alpach włoskich i szwajcarskich i zdobyliśmy Mont Blanc. Uczestniczyliśmy w Zimowym Kursie Wysokogórskim organizowanym w Tatrach przez nasz Klub. Tegoroczną przygodę zaczęliśmy 13 lipca 2014, lotem do Tbilisi z przesiadką w Rydze. W stolicy Gruzji nie zabawiliśmy zbyt długo, gdyż od razu przemieścimy się drogą lądową pod masyw Elbrusa w Federacji Rosyjskiej.

Akcję górską, zwaną też przez nas „marszem śmieci” (z powodu ciężkich plecaków, upału i butów wysokogórskich na asfalcie) zaczęliśmy z miejscowości Tereskol (2141 m n.p.m.), skąd spokojnie podeszliśmy do Obserwatorium Astronomicznego (3091 m. n.p.m.) po drodze mijając urokliwy wodospad. Zaszczepiliśmy górskiego bakcyła w rosyjskich studentach – astronomach praktykantach w tymże obserwatorium.

Dalej droga wiodła przez „pipant” 105 do nieużywanej Meteo Stacji (3695 m n.p.m.), gdzie niektórzy oddawali się kąpielom w jeziorku polodowcowym. Mniej więcej na tym etapie potrzebowaliśmy dnia restowego, aby aklimatyzacja przebiegała prawidłowo. Jednak po spotkaniu dwójki rosyjskich turystów, którzy powiedzieli nam o niedawnej śmierci osób na lodowcu, który dzielił nas od „drogi normalnej”, postanowiliśmy przejść ten najtrudniejszy odcinek jak najszybciej. W kolejnych dniach wspinaliśmy się w okolice bazy Pirut (4062 m n.p.m.), gdzie zabawiliśmy dwa dni. Obok Piruta znajduje się baza ratowników, ale mylił się ten, kto myśli, że można się od nich czegośkolwiek dowiedzieć. Ich praca ogranicza się do jazdy skuterm „taksówką”.

Dalej ruszyliśmy do Skał Pastuchowa na wysokości 4552 m n.p.m, ale rozbiliśmy kolejny namiot nad nimi, na wysokości zbliżonej do Mont Blanca. Zastało nas tam załamanie pogody i przez kilka dni doświadczaliśmy śnieży, sauny, co spowodowało ogólne „zbzikowanie”. Topiliśmy śnieg na wodę, wymyślaliśmy zabawy lodowcowe i słuchaliśmy audiobooka „Gra o tron”, na przemian czytając

książkę Piotra Morawskiego. Wybraliśmy się także na wycieczkę w celu przekroczenia granicy 5000 metrów.

Z naszego obozu zaczęliśmy pierwszy atak szczytowy, jednak wyruszyliśmy zbyt wcześnie w nocy i zimno nie pozwoliło nam napierać dalej. Wróciliśmy do śpiworów i kilka godzin później ruszyliśmy ponownie. Udało nam się wejść na szczyt wyższego wierzchołka Elbrusa (5642 m n.p.m.). Schodziliśmy i zjeżdżaliśmy bezpłatną kolejką linową „drogą normalną” do miejscowości Azu (2359 m n.p.m.), mijając po drodze legendarne beczki po paliwie raketowym, w których obecnie jest hotel (3703 m n.p.m.) i parking dla ratraków. Wróciliśmy do Tereskołu, skąd wyruszyliśmy, aby zamknąć ten etap naszej wyprawy.



W drodze na szczyt

Drugą, niemniej ekscytującą częścią naszej kaukaskiej przygody, było zmierzenie się z jej wspaniałością – górą Kazbek. W tym celu po raz kolejny przekroczyliśmy granicę Federacji Rosyjskiej z powrotem do Gruzji i „marszrutkami” pojechaliśmy do miejscowości Stepantsminda (Kazbegi). Potrzebowaliśmy tam chwili na regenerację przed podjęciem dalszej wspinaczki. Już na początku trekkingu mijaliśmy okolice przepięknego klasztoru Gergeti Sameba Church. Powyżej, górską ścieżką prowadziła nas koło kapliczki Sabertse na przełęczy Archa (2940 m n.p.m.). Dalej, przekroczyliśmy rzekę Sabertse i przedostaliśmy się na drugą stronę jezora lodowca Gergeti do Meteo Stacji (3670 m n.p.m.). W kolejnych dniach udaliśmy się na przełęcz i na rozległe plateau, skąd zaplanowaliśmy atak szczytowy na Kazbek (wysokość 5047 m n.p.m.). Schodziliśmy tą samą drogą.

Po pomyślnej realizacji strategii wysokogórskiej nie pozostało nam nic innego, jak świętować i próbować gruzińskich specjałów. Zwiedziliśmy wspaniałe gruzińskie załbytki. Wśród nich znalazły się m.in.: Mccheta – pierwsza stolica Gruzji, skalne miasto Upliscyche, Zugdidi, Batumi, Mestia. Udaliśmy się z poznanym Gruzinem – Saszką na trekking wokół Uszby do Swanetii. Powrót do kraju zaplanowaliśmy niestandardowo, bo autostopem! Udało się!

■

Samotne przejście łąkiem Karpat

Grzegorz Kaczmarek

Łukasz Supergan – podróżnik i fotograf, od lat dziewięćdziesiątych związany z górami. W roku 2004 jako pierwszy w historii samotnie przeszedł łąk Karpat. Wyczyn ten powtórzył kilka miesięcy temu. W międzyczasie dokonał ekspresowego wejścia na 13 alpejskich czterotysięczników (2009), wybrał się na dwuletnią wędrówkę po Azji (2010 – 2012) i odbył pielgrzymkę szlakiem św. Jakuba (2013). W tym roku przewędrował góry Słowacji a w kilka miesięcy później wybrał się w irański Zagros.



Łukasz Supergan

Grzegorz Kaczmarek: Co lubisz w górach najbardziej?

Łukasz Supergan: Chyba najbardziej wolność, którą daje chodzenie po górach.

G.K.: Jak zaczęła się twoja przygoda z górami?

Ł.S.: Dawno, 25 lat temu. Pierwszy raz na poważnie pojechałem w góry w wieku 8 lat w Beskid Sądecki z mamą. Z czasem zaczęła się coraz poważniejsza turystyka.

G.K.: Skąd wziął się pomysł na samotne przejście łąki Karpat?

Ł.S.: Wymyśliłem to sam. Nie wiedziałem, że ktoś już to zrobił. Pewnego dnia postanowiłem, że zrobię całe polskie Karpaty. Była to moja pierwsza samotna wyprawa w góry. Kiedy wróciłem z trasy do domu i otworzyłem encyklopedię na hasło „Karpaty”, zobaczyłem, że to, co przeszedłem jest ich niewielką częścią. I wtedy postanowiłem, że przejdę cały łąk Karpat. To było nieco szalone, bo nie miałem wtedy doświadczenia trekkingowego. Miałem wątpliwości, ale stwierdziłem, że jest szansa na sukces.

G.K.: Który fragment trasy dał Ci najbardziej w kość w 2004 roku?

Ł.S.: Rumuńskie Karpaty Wschodnie. Zaczął się sypać sprzęt, pogoda kaprysiła i miałem kłopoty z nawigacją.

G.K.: Czego obawiałeś się najbardziej?

Ł.S.: Moje obawy były bardzo niesprecyzowane. Przy małym doświadczeniu bałem się nieznanego.

G.K.: Największe zaskoczenie?

Ł.S.: Docierałem w góry, o których istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia. Olbrzymie połoniny w Karpatach Południowych i miejscowi, których spotykałem na trasie – pasterze, wieśniacy i właściciele schronisk. Zaskakiwała mnie ich gościnność i to, jak oni żyją. W ogóle cała ta wyprawa sprzed dziewięciu lat była pasmem zaskoczeń.

G.K.: Dlaczego postanowiłeś powtórzyć ten wyczyn?

Ł.S.: Zacząłem o tym myśleć po paru latach od pierwszego przejścia. W 2004 roku wyruszałem z ciężkim plecakiem i małym doświadczeniem. Zastanawiałem się, jak by to było, gdybym zrobił tę trasę z lekkim plecakiem i większym doświadczeniem. Czułem, że mam niewyrównany rachunek z tą drogą. Chciałem wykorzystać nabytą wiedzę i przejść tę trasę na spokojnie.

G.K.: Karpaty przeszło już wielu. Myślisz że w ciągu najbliższej dekady znajdzie się jakaś ekipa lub samotnik, który pokona Góry Dynarskie?

Ł.S.: Nie znam tego rejonu, ale wiem, że tamtejsze góry są bardziej wymagające, niemniej nie jest to wykluczone.

G.K.: Jakie miałeś doświadczenie wspinaczkowe przed wyprawą w Alpy?

Ł.S.: Letnia i zimowa wspinaczka po Tatrach. Letni kurs taternicki i krótkie szkolenie zimowe. Zdarzało mi się też pokonywać długie trasy wspinaczkowe na I i II poziomie trudności. Do tego dochodzi chodzenie z namiotem po Beskidach w warunkach zimowych.

G.K.: Skąd ten pośpiech w zdobywaniu alpejskich szczytów?

Ł.S.: Stwierdziłem, że nie chcę spędzać dwóch tygodni na aklimatyzacji, żeby potem wejść na jeden szczyt. Zacząłem myśleć o kilku celach. Policzyłem szczyty w interesującym mnie rejonie Szwajcarii i Francji, i zobaczyłem, że spokojnie jestem w stanie zrobić ich 12.

G.K.: Jakie wyposażenie miałeś w trakcie tej wyprawy i jaka była jego waga?

Ł.S.: Miałem 35 kg plecak i jedzenie na miesiąc w 70l worku. Brałem ze sobą dwa namioty (jeden zostawał na dole), śpiwór, sprzęt fotograficzny, 60 m cienkiej liny, śruby lodowe, raki czekan, kości, kask, uprząż, karabinki, kuchenkę, menażkę, paliwo i kijki teleskopowe.

G.K.: Chciałbyś jeszcze wrócić w Alpy? Jeśli tak, to w jaki rejon?

Ł.S.: Tak, zdecydowanie. Interesują mnie Alpy Walijskie na granicy Szwajcarii i Włoch, a szczególnie Matterhorn i Monte Rosa, których wtedy nie udało się zrobić.

G.K.: Czy planowałeś poświęcić 2 lata na podróż po Azji czy po prostu tak wyszło „w praniu”? I skąd miałeś środki na tak długi czas – oszczędzałeś wcześniej czy zatrudniałeś się gdzieś na miesiąc?

Ł.S.: Myśleliśmy wtedy, że zajmie nam to półtora roku, ale liczyliśmy się z tym, iż może się przedłużyć. Wyjazd sfinansowaliśmy głównie z naszych oszczędności. Na poziomie mniejszym niż 5% wspomogła nas też rodzina i znajomi. Mieliliśmy jednego sponsora – Meindla, od którego

dostaliśmy buty. W czasie wyprawy pracowaliśmy tylko przez 2 miesiące jako wolontariusze.

G.K.: Jesteś zwolennikiem wyznaczonych turystycznych szlaków jak ten św. Jakuba czy wolisz dziksz, jeszcze nie opanowane przez turystów góry?

Ł.S.: To zależy od tego, jaki mam pomysł na wyjazd oraz miejsca i celu wyprawy, ale na pewno nie lubię tłumów. Dużo chodzę po górach samotnie, bo po prostu to lubię. Najważniejsze jest dla mnie, by czerpać radość z wyjazdu i nie czuć nad sobą „siekiery”.

G.K.: Jak udaje Ci się zdobywać pieniądze na wyprawy?

Ł.S.: Po studiach na MSOŚ pracowałem 5 lat z rzędu. Nie były to kokosy, ale mogłem odłożyć pieniądze na swoje marzenia. Po powrocie z Azji nie miałem już kasy i podjąłem pracę na wysokościach w warunkach zimowych. W ten sposób zarobiłem te 1600 zł potrzebne na 4 miesięczną pielgrzymkę do Hiszpanii. Z tegorocznym przejściem łuku Karpat to było tak, że opublikowałem na swojej stronie książkę w formacie PDF o wyprawie w to samo miejsce z 2001 roku. Ludzie wpłacali mi za to dowolną kwotę. Okazało się, że od 150 osób zebrałem 1500 zł czyli dokładnie tyle, ile potrzebowałem.

Chata na Końcu Świata

Grzegorz Kaczmarek

Wszystko zaczęło się od tego, że kiedyś zobaczyłem na mapie Bieszczadów domek opodal Przełęczy Łupkowskiej z podpisem „Chata na Końcu Świata”. Odsunięty od bardziej uczęszczanych szlaków Łupków nęcił mnie swoim peryferyjnym położeniem na pograniczu Beskidu Niskiego i Bieszczadów. Gdy w sierpniu tego roku, kontynuując moją transgraniczną podróż z Ustrzyk Dolnych do Szczawnego, trafiłem do Balnicy, byłem jedynym człowiekiem, który poszedł niebieskim szlakiem na Łupków. Po kilku godzinach slalomu między zwalonymi drzewami opuściłem granicę i szedłem w dolinę Roztoki gdzie niegdyś znajdowały się zabudowania wsi Zubeńsko.



Rzeczona budowla

Im bardziej zbliżałem się do tajemniczej chatki, tym bardziej zastanawiałem się jak realia zniosą starcie z imaginacją. W końcu zobaczyłem mały niepozorny drewniany domek przycupnięty na niewysokim wzniesieniu. Przyśpieszyłem kroku i już po chwili, witany przez gospodarskie-

G.K.: Czym zajmujesz się na co dzień?

Ł.S.: W tej chwili nie pracuję. Jeżdżę po Polsce z pokazami. Czasami dostaję za to pieniądze, aczkolwiek nie zawsze i nie są to duże sumy. Przyjmuję też drobne zlecenia, bo zimą chcę gdzieś wyjechać.

G.K.: Twoje miejsca w górach?

Ł.S.: W Polsce wschodnia część Beskidu Niskiego, Karpaty Południowe, a w Azji - tadżycki Pamir oraz Dhaulagiri w Himalajach Nepalu.

G.K.: Interesują Cię jakieś niegórskie rejony Polski?

Ł.S.: Puszcza Kampinoska.

G.K.: Ulubione danie podróżnicze?

Ł.S.: Chyba nie mam takiego.

G.K.: Jakie są twoje najbliższe plany?

Ł.S.: W styczniu – lutym chciałbym samotnie przejść kilkutygodniową trasę w Karpatach Polskich lub Słowackich, tak jakoś 500 km. Na razie nie jest to plan sprecyzowany.

G.K.: Twoja wyprawa marzeń?

Ł.S.: Mam taki zeszyt, gdzie spisałem co jeszcze chciałbym zrobić i ta lista ciągle się wydłuża. Na razie mam 15 pozycji. To są różne, nie tylko górskie rzeczy. Najbardziej ciągnie mnie do Tien-Szan i Pamiru. ■

go psa Frankiego, stałem przed sporych rozmiarów chatką z gankiem. Siedziały u trzy osoby. Pośród nich był i gospodarz tego przybytku. Od razu zaproponował mi herbatę i ciasto własnej roboty.

Posiliwszy się, wszedłem do środka. Po pokonaniu pełnej kurtki i butów sieni znalazłem się w obszernym pomieszczeniu z klimatycznym wystrojem. Padające przez okna promienie słońca oświetlały ściany pokryte gitarami, kapeluszami, zdjęciami oraz cudami karpackiej przyrody. W rogu stało pianino, na którym wylegiwał się czarny kotek. Gdy tylko wyczuł nowego gościa, skoczył na potężny drewniany stół za piecem i podbiegł by mnie obwąchać.

W tym towarzystwie podszedłem do drewnianej szafki zasłanej prasą, nad którą zwisało koło od wozu. Opodal na usytuowanym centralnie piecu stały olbrzymie gary i czajniki. Naprzeciwko znajdowały się szafki kuchenne, zlewozmywak i suszarka. Poza dwoma ostatnimi elementami wszystko było wykonane z drewna. Ta tak zwana „własna produkcja” pięknie komponowała się z wnętrzem chaty.

Idąc dalej wkroczyłem do przedpokoju z regałami obładowanymi książkami wszelakiego rodzaju. Można tu było znaleźć wszystko, od fantastyki poczynając na światowej klasyce skończywszy. Po lewej dostrzegłem drzwi wiodące do kwatery gospodarza, z drugiej zaś strony do łazienki z widokiem na dolinę Roztoki. Znajdowała się w niej wanna, umywalka, miska oraz... wszędobylskie mapy WIG. Rzecz jasna wodę nosiło się tu z gara stojącego na piecu ☺. Powróciłem do głównego pomieszczenia i wdrapałem się po schodach na poddasze zasłane materacami, po których brykał mój towarzysz. Na tym zakończyłem zwiedzanie gdyż przed zapadnięciem zmroku chciałem jeszcze pomyszkować po najbliższej okolicy. Obok chatki dostrze-

głem boisko do siatkówki, stół z ławkami, studnię i malowane na niebiesko sławojki. Podobnie jak w łazience, w WC oprócz standardowego wyposażenia na ścianie wisiały arkusze map WIG. Wieczorny chłód zachęcił mnie do szybkiego zakończenia „wycieczki”.

Wrzuciłem moje manatki na górę, zjadłem i wykapałem się. Zasiadłem przy świeczniku nad mapą i kosztując białego półsłodkiego wina „Diesel”, pozostawionego przez jednego z bywalców chatki, raczyłem się atmosferą wieczoru rozmawiając z gospodarzem.

Rano uwinąłem się ze wszystkim w pół godziny, ale wyjście nie przyszło mi łatwo, bo atmosfera tego miejsca sprawiała, że po prostu nie chciało się go opuszczać. W końcu pożegnawszy się z chatkowym, który właśnie wrócił z porannego spaceru, zmusiłem się do wyjścia. Zszedłem w dół i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Chatę na Końcu Świata pomaszerowałem ku przełęczy Łupkowskiej. Obiecałem sobie, że jeszcze wrócę do Łupkowa. Miało się to stać szybciej niż przypuszczałem ale to już zupełnie inna historia... ■

Jura Krakowsko-Częstochowska. Część Południowa.

Propozycja wycieczki rowerowej.

Paulina Kocot

Jeśli szukacie ciekawej trasy rowerowej bogatej w walory turystyczne i krajoznawcze, powinniście wybrać się na Jurę Krakowsko-Częstochowską. Region ten jest przede wszystkim znany ze słynnego Szlaku Orlich Gniazd, ale nie brakuje tutaj też i innych ciekawostek historycznych jak i geologicznych. Podróżując po Jurze warto zwrócić uwagę nie tylko na ruiny zamków, baszt, czy strażnic, ale pamiętać należy też o bogactwie przyrodniczym, geologicznym, które nadaje Jurze jej charakterystycznego krajobrazu. Mam tu na myśli ostańce wapienne i skalne, jaskinie, czy nawet pustynie. Swoistą ciekawostką stanowi tu Pustynia Błędowska, która jest największym w Polsce obszarem lotnych piasków. Wszystkie te aspekty powodują, że Jura Krakowsko-Częstochowska jest jednym z najpiękniejszych rejonów Polski.



Ruiny zamku w Ogrodzieńcu

Proponowana trasa rowerowa została podzielona na 3 dni, aby na spokojnie zagłębić się w uroki tej krainy. Mimo iż dzienne odcinki do przejechania wynosiły do 45km, warto wziąć pod uwagę czas, jaki należy poświęcić na zwiedzanie poszczególnych obiektów. Trasa w większości prowadzi drogami asfaltowymi, czasami łączy się ze szlakiem rowerowym, ale szlak ten nie stanowi głównej trasy wycieczki. Mimo to, bardzo łatwo jest się poruszać po Jurze, gdyż drogi, obiekty są bardzo dobrze oznaczone i łatwo do nich trafić. Tak więc proponowana wycieczka ma charak-

ter bardziej relaksacyjny, i nastawiona jest na spokojny wypoczynek bez pośpiechu.



Ostańce wapienne z mezozoiku

Trasa: Zawiercie – Ogrodzieniec – Smoleń – Bydlin – Chechło – Rabsztyn – Ojców – Kraków

Atrakcje:

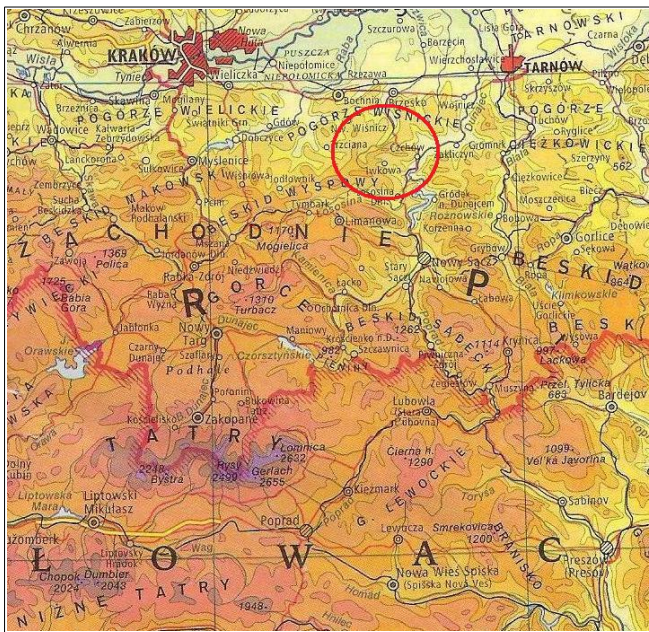
- ruiny zamku w Ogrodzieńcu (najpiękniejszy zabytek Jury)
- ruiny zamku Smoleń
- ruiny zamku Bydlin
- Pustynia Błędowska
- ruiny zamku Rabsztyn
- Zamek w Pieskowej Skale
- ruiny zamku Ojców
- Ojcowski Park Narodowy
- Dolina Prądnika
- Kraków

Warto tu zaznaczyć, że najlepszy punkt obserwacji na Pustynię Błędowską znajduje się przy wjeździe do miasta Chechło od strony wschodniej, przy wzniesieniu Dąbrówka (dawny punkt obserwacyjny II wojny światowej). ■

Niedoceniane Pogórza

Grzegorz Kaczmarek

Zgadnij co to! Wiesz, że istnieją, nawet nie raz przez nie przejeżdżałeś zdążając w Beskidy. Praktycznie zawsze je pomijasz bo nie chcesz tracić czasu na jakieś nędzne pagórki. Nie wiesz? To może podpowiem – pogórza karpackie, których mamy w Polsce około tuzina. Ciągną się od Cieszyńska po Przemyśl na przestrzeni ponad 300 kilometrów. Na terenie każdego z nich znajduje się cała masa miejsc godnych uwagi. Ich sąsiedztwo z Karpatami sprawia, że można połączyć górskie wędrowki z wypadami krajoznawczymi. Co więcej, często są położone obok miast posiadających bezpośrednie połączenia z Warszawą i Krakowem, jak np. Rzeszów czy Tarnów.



Dla przyzwoitego omówienia choć jednego z: polskich pogórzy należałoby napisać osobny przewodnik. W związku z tym postanowiłem ograniczyć się tutaj do paru obiektów

Jak nie jechać do Londynu

Tekst pisany ku przestrodze

Damian Dąbrowski

W kwietniu bieżącego roku napisał do mnie mój dobry przyjaciel Łukasz. W wiadomości od niego zawarty był plan dwutygodniowej podróży po Wielkiej Brytanii, którą odbyć mielibyśmy we wrześniu. Jedną z rzeczy, która zachęcić mnie miała do owej wyprawy, była jej niska cena – za wszystkie bilety (do, po i z Wielkiej Brytanii) wyszło łącznie 170 złotych na głowę, a to dzięki niemu talentowi Łukasza do wynajdywania promocyjnych połączeń Megabusem (taki ichni Polski Bus). Niewiele się namyslałem przystałem na propozycję – w końcu co może pójść źle?

Haczyk był jeden – nasz autobus do Londynu (cena: £1) odjeżdżał 2. września o 11:00 z Kolonii, na zachodzie Niemiec. Cóż to dla nas, dojedziemy tam na sto-

tów na Pogórze Wiśnickim i Rożnowskim. Pierwsze z nich usytuowane jest między Rabą i Dunajcem, drugie zaś między Dunajcem a Białą. Można się tu dostać od południa przez Beskid Sądecki, od zachodu przez Beskid Wyspowy oraz północy z Bochni lub Brzeska. Jeśli zdecydujecie się wybrać we wspomniane wyżej rejony to miałbym Wam do zaproponowania następujące atrakcje:

Stary Wiśnicz – zamek Kmitów, imponująca barokowa rezydencja, wedle legendy wzniesiona rękami tatarskich jeńców,

Lipnica Murowana – zabudowa rynku oraz trzy kościoły, wśród których znajduje się rewelacja na europejską skalę, świątynia Świętego Leonarda wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO,

Tropie – kościół Świętych Andrzeja i Benedykta; jest to mała, niepozorna świątynia jedna z najstarszych w Małopolsce. W środku można między innymi znaleźć bezcenne romańskie malowidła i piękną obudowę chrzcielnicy. Z Tropi możecie przeprawić się promem na drugą stronę Dunajca do Wytrzybszki gdzie pod spożywczakiem stają busy między innymi do Krakowa i Nowego Sącza,

Rożnów – kościół Świętego Wojciecha oraz dwa zamki. Pierwszy z nich, którego właścicielem był legendarny Zawisza Czarny znajduje się w ruinie. W dużo lepszym stanie jest unikatowa fortelica wzniesiona przez, zwycięzcę spod Obertyna hetmana Jana Tarnowskiego. Na jej murze umieszczono między innymi niezwykle przedstawienie XVI-wiecznego żołnierza.

Jest to propozycja, która może stanowić przyczynek dla samodzielnej trasy bądź uzupełnienie dla wyprawy w Beskid Wyspowy lub Sądecki. Gwarantuję, że podróż do serca Małopolski nie przyniesie rozczarowania; a być może zachęci do odkrycia Pogórza Przemyskiego... ■

pa – pomyśleliśmy. Idąc nieco na łatwiznę postanowiliśmy podjechać Polskim Busem do Berlina (20 zł). W ten oto sposób 1. września o godzinie 7:00 znaleźliśmy się w stolicy naszych zachodnich sąsiadów. Mieliśmy 27 godzin na przebycie ok. 600 km i nawet cień obawy nie prześlizgnął się przez nasze puste łepetyny.

Po zjedzeniu skromnego śniadania, wysąpiliśmy od przydworcowego sklepikarza spory kawałek kartonu. Łukasz nabazgrał na nim duże „KÖLN” i tak zaopatrzeni wyruszyliśmy na poszukiwania zjazdu na odpowiednią autostradę. Tak się szczęśliwie składało, że ów zjazd znajdował się ok 20 minut piechotą od naszego dworca! Po odrobinie błędzenia i kręcenia się w kółko dotarliśmy na miejsce – była z grubsza 8:30.

Ku naszej konsternacji okazało się, że autostrada za-

czyna się jeszcze „w mieście”, tzn. jest duże skrzyżowanie, a za tym skrzyżowaniem są postawione znaki wjazdu na autostradę – i tyle. Na pierwszy rzut oka brak dogodnych miejsc na łapanie stopa. Po pewnym czasie znaleźliśmy jakiś poboczny zjazd, koło którego znajdował się parking – wyglądało to obiecująco. Nie wchodząc w szczegóły – pomimo zagadywania ludzi na parking, szukania dogodniejszego miejsca, niemalże przeskakiwania przez płot, obniżenia oczekiwań i napisania na kartonie „MAGDEBURG”, a przede wszystkim pomimo długotrwałego machania i szczerzenia się jak głupki – w ciągu 3 godzin ani jedna osoba się nie zatrzymała.



Łapanie stopa

Nieco zniechęceni postanowiliśmy wrócić na dworzec i pomyśleć, co dalej. Stwierdziliśmy, że mamy 2 opcje: podjechać kawałek autobusem i dalej próbować łapać (jakaś stacja benzynowa?), albo zupełnie się poddać i jechać aż do Kolonii. Zaletą drugiego wyjścia było to, że autobus wyjeżdżał o 23, a na miejscu był o 8 – mielibyśmy trochę czasu na zwiedzenie Berlina i nie musielibyśmy się przejmować noclegiem w Kolonii. Minusem było to, że bilet kosztował aż 29 euro. Ostatecznie postanowiliśmy podjechać do Hannoveru (16 euro), co jest mniej więcej w połowie drogi, i stamtąd dalej łapać. W Hannoverze mieliśmy być przed 16.

Rozkład rozkładem, ale w związku z ogromnymi korkami na autostradach w Hannoverze byliśmy dopiero po 18. Zaczynało się ściemniać, nie za bardzo wiadomo, co ze sobą zrobić. A obok autobus, który za 20 minut jedzie do Kolonii. Z bólem w sercach i gorzkimi uśmieszkami na ustach wpakowaliśmy się na pokład. W związku z awarią

systemu komputerowego nie mogliśmy kupić biletów w kasach, tylko musieliśmy u kierowcy, gdzie jak się okazało jest drożej. Sporo drożej. Zapłaciliśmy 25 euro.

Około 23 wreszcie znaleźliśmy się w Kolonii. Pomimo styrania musieliśmy jeszcze ogarnąć skąd jutro jedziemy, no i jakieś spanie. O ile pierwsza sprawa poszła w miarę gładko, to z drugą już nie było tak różowo. Łukasz był zwolennikiem rozbicia namiotu na jakimś trawniku koło dworca, ja próbowałem przeforsować nocleg w poczekalni. W końcu stanęło na moim. Po zostawieniu tobołów w przechowalni (6 euro) i skorzystaniu z łazienki (1 euro) wtoczyliśmy się do poczekalni. Dochodziła 2:00.

Poczekalnia ta była stosunkowo niewielka, a panujący w niej zapach do najprzyjemniejszych nie należał. Zajęliśmy sobie strategiczne miejsce w kącie, rozłożyliśmy maty i wskoczyliśmy do śpiworków. Mniej więcej pół godziny później, kiedy znajdowałem się już na granicy snu i przytomności, obudziło mnie głośnie ŁUP ŁUP ŁUP ŁUP. Dwóch ochroniarzy robiło nalot i bez większych ceregieli wypraszali z poczekalni ludzi bez biletów kolejowych (bo była to poczekalnia Deutsche Bahn). Na szczęście do nas, jako do obcokrajowców, odnieśli się dość uprzejmie i nie kazali nam okazywać (nieistniejących) biletów. Zwrócili nam jednak uwagę, że nie można tutaj spać na leżąco. „Jeżeli umiecie spać na siedząco, to możecie sobie usiąść na krzeselkach i tam kimać.” Zrezygnowaliśmy tylko im przytakiwaliśmy, a po ich wyjściu stworzyliśmy sobie prowizoryczne siedziska przy użyciu karimat wspartych o ścianę – żeby nie było, że leżymy. Skończyło się na tym, że i tak leżeliśmy, tyle że na 2 razy mniejszej powierzchni. Przy kolejnych nalotach (powtarzanych mniej więcej co godzinę) przyjęliśmy taktykę twardego ignorowania świata zewnętrznego, co przyniosło oczekiwany skutek – ochroniarze dali nam spokój.

Tak było aż do 5, kiedy to zaczynało się sprzątanie poczekalni i wszyscy zostali z niej definitywnie wypędzeni. Nie mając nic innego do roboty, poszliśmy na pierwszą poranną mszę do przepięknej katedry, która znajduje się tuż obok dworca. W ten sposób zyskaliśmy dodatkowe 45 minut drzemki. Dalsza część poranka szczęśliwie przebiegła już bez przygód, przed 11 byliśmy na miejscu zbiórki, a o 11 wyjechaliśmy Megabusem w stronę Londynu. Na miejscu byliśmy po 20.

Podsumowując, czas przejazdu: 44 godziny, łączny koszt: ok. 230 złotych. Nauka na przyszłość: następnym razem lecimy samolotem. ■

Wiersz znad Wetlinki

Grzegorz Kaczmarek

Był ciepły wrześniowy dzień. Właśnie wjeżdżałem rowerem do Kalnicy z zamiarem dotarcia do schroniska Jaworzec. Skreśliłem z głównej drogi na północ ku wstędze Wetlinki. Po chwili przejechałem ją i pokonując ostatnie przewyższenia stanąłem u celu.

Jak w poprzednich „schronach” obsługa bez oporu zgodziła się wywiesić plakaty reklamujące kurs przewodników górskich i całokształt działalności SKG. Zamieniłem z chłopakami kilka słów, posiliłem się, odpocząłem i ruszyłem dalej. Postanowiłem, że nie skieruję się od razu do Cisnej i pokręcę się jeszcze po tym urokliwym bieszczadzkim zakątku, do czego zachęcała ścieżka wiodąca nadrzecznym zboczem.

Mapa i instynkt nie zawiodły i po chwili natrafiłem na skryty w lesie cmentarz. Z pozoru nie przedstawiał się zbyt kusząco. Ot, dwa krzyże i jakaś dziwna wkopana w ziemię deska uwieczniona daszkiem. Pchany wrodzoną ciekawością wszedłem za cmentarną bramę i przyjrzawszy się bliżej pomalowanej na ciemny brąz desce zauważyłem, że pod wyrytym krzyżem umieszczono w ramce, stanowiącej jakby przekrój ptasiej budki, kartkę zabezpieczoną przed wilgocią. Schyliłem się i zacząłem na głos czytać wiersz nieznanego autora. Poczułem się poruszony do głębi i spełniłem prośbę tajemniczego twórcy. Podumałem dłuższą chwilę przy szumie Wetlinki, obszedłem teren cmentarza i ruszyłem dalej szlakiem „Bieszczadów odnalezionych”. Obfitywał on w różne ciekawe miejsca ale nic nie wywarło na mnie takiego wrażenia jak ów wiersz. Jego słowa kołysały mą duszą do końca wyjazdu. Nie zapomniałem o nim również w Warszawie i teraz Wam go prezentuję:

Zwycięzca

Grzegorz Kaczmarek

W roku 1984 w Informatorze SKG ogłoszono wyniki konkursu poetyckiego. Nagrodzono siedem utworów, spośród których aż trzy wyszły spod pióra Świtowana. Jak już wspominałem w poprzednim numerze, nie udało się zdobyć zbyt wiele informacji na jego temat. I chyba nawet dobrze się stało. Dzięki temu, że ten skromny poeta skrył się za mgłą tajemnicy, jego wiersze nabierają dodatkowego uroku. Poniżej zamieszczam utwór Świtowana nagrodzony we wspomnianym konkursie, który dedykuję tegorocznym kursantom ;-).

Skoro tu jesteś

Bezimiennie duchy

krążą cichutko

nad zapadniętymi

bez krzyża grobami

czekając wędrowca

krótkiej modlitwy

by znów się ułożyć

na wieczny spoczynek

tak zasłużony

a tak sponiewierany.

Więc przystań przechodniu,

pochyl pokornie głowę

nad nimi się ulituj.

Złóż w myślach prostą

lecz szczerą modlitwę

by ziemia im lekką była.

Niech duchy tej ziemi,

po latach tułaczki,

wiodą byt wiekuisty,

tak jak Pismo mówi.

A my wciąż żywi

wędrując po tym padole

pamiętajmy, że gdzieś

i kiedyś będziemy chcieli

by na naszej mogile

skupiały się myśli bliskich

a płomyk znicza nie był bezimiennym duchem. ■

Jar

Konarami starych jaworów

przekradają się wstążki

światła.

Klon donośnym skrzypieniem

daje znać o sobie.

Z kamienia, na kamień

bezszelestnie szemrząc

spływa pierwszy jesienny

liść.

Szumnie, spadziście,

gwałtownie, raptownie,

dudniąc powietrzem,

wali w dół struga wody

niegdyś spokojnej,

a teraz krzykliwej.

Świtowan 84 ■

Obieramy trupa z zębów

czyli poszukiwacze skarbów w Bieszczadach.

Maciej Szuba

Rzecz działa się podczas przejścia wiosennego XXXII KPG, kiedy to po zakończeniu manewrów górskich niektórzy kursanci pozostali na bazie namiotowej w Rabem, nie mogąc o własnych siłach podążać za grupą.

Zapadła wiosenna nocka pod przełęczą Żebrak, nad lasem skrzyły się już gwiazdy, z ogniska szły w niebo chmary iskiei. Tego wieczora zostaliśmy sami – ci, którzy byli w stanie iść na własnych nogach poszli w gęszcze, opuszczając piątkę kuśtykających kalek na bazowej polanie. Miło siedziało się nam pod wiatą, należał się ten wieczór wytchnienia, jednak coraz bardziej kuśły namioty, spiwory, sprawiedliwe sny... Rozeszli się nasi spać.

Baza nie była jednak własnością Klubu, poza resztami kursantów noclegowało tam inne towarzystwo, a że rozbuchali ognisko i nie przeganiiali od ciepła, to dosiadłem się i chłonałem ile mogłem w podmarznięte dłonie. Mimochodem zacząłem też siąknąć rozmowę.

Trzech ich było, tegi chłop z bębniem jak w orkiestrze i dwóch podrostków z mlecznym wąsem. W ich mowie brzmiała soczysta kielecczyzna, a dyskutowali o historii Wysokiego Działu – nie miałem jednak pojęcia, dokąd nas ta dyskusja doprowadzi. Mówili o skarbach tkwiących w stokach Chryszczatej jeszcze od czasów pierwszej wojny – a jak coś leży schowane, to człowiek nie przepuści póki nie znajdzie.

„Pełno tu dołków strzeleckik, jednoosobowyk, albo i dwu, wcoraj nadzialiśmy się na taki jeden. Dwók ik tam leżało, jeden łobok drugiego, w kraterze, to ich pewnie jaki szrapnel z góry dosięgnoł. Łoficer i młody strzelec, a pewnie ze młody, jak go wyciagnołem to wsystkie zeby miał, taki ładny uśmiech. Ten to nic przy sobie nie miał, tyle co nieśmiertelnik i troche patronów, z karabinu tyle co lufa została, rdza, cało kolbe przezarło. Łoficera lepiej się łobierało, sprytny był, ładne miał buty na nogak jeszcze, skórzane, dobre, a w jednym bucie jak je zzuliśmy schowany miał zegarek złoty na łańcusku, taki skubany spryciarz. Wiecej ześmy ich łobrali, z łoficera duzo było. No, i wzeliśmy po pół nieśmiertelnika, i wbiliśmy im krzyże na tym kraterze. Bo czego żołnierz chce jak leży? Pewnie, zeby mu kto krzyż postawił, to my za to bierzemy naso dole, bo na co mu w ziemi te patrony? Orzełki? Karabiny? A tak to on krzyż ma i my łokup mamy.”

Przykład nie był jedynym, w zależności od szczęścia jednego dnia polowań może się trafić znacznie więcej klientów do „obrania”. Najlepiej jest szukać sugerując się rzeźbą terenu, po dziewięćdziesięciu kilku latach widać jeszcze gdzieśdziury wyrwane eksplozjami pocisków, a w zarośniętym leju jest spora szansa na znalezienie szczątków – niekoniecznie ofiar samej eksplozji, ale późniejszego nieszczęścia, jako że takie kraterzyki służyły później jako stanowiska strzeleckie, i to strzelcy stanowią najczęstszą zdobycz. Jeszcze łatwiej jest znaleźć rowy strzeleckie, zarośnięte transeje od razu rzucają się w oczy jako podłużne, nienaturalne bruzdy wyorane w zalesionych stokach. Spo-

strzegawczości nabiera się z doświadczeniem, ale najlepsi poszukiwacze mają naturalnego „nosa” do sprawy.

Z początku idąc przez las z wykrywaczem metali podskakuje się na każde piknięcie i wygrzebuje z próchnicy wszystkie łuseczki i fragmenty szrapneli, później dopiero doświadczenie uczy, że szkoda na to czasu i pewnie dookoła leżą ciekawsze rzeczy. Godny łup stanowią bagnety, tasaki artyleryjskie, klamry od pasków, manierki, orzełki, czasem nawet całe karabiny, hełmy albo amunicja.

Bagnisty, Bałanda, Łysy Wierch – wszystkie zakątki dookoła Chryszczatej są regularnie skanowane. Pojawiają się tam ekipy poszukiwaczy skarbów spod Kielc, Bielska-Białej i Lublina, i choć znalezisk jest coraz mniej, entuzjazm zapaleńców nie słabnie. Dobrze jest móc się pochwalić kolekcją pięknych orzełków, ale trzeba pamiętać o tym, że rzadko kiedy leżą one zagubione pod warstwą liści. Zwyczaj są one wciąż częścią munduru „klienta”, którego trzeba z nich wpierw „obrać”, a to nie wygląda już tak zgrabnie. Zwłaszcza, gdy trafi się oficer ze złotymi zębami, a do kruszcu trzeba się dobrać za pomocą kombinerek. Albo obciążków.

W lasach pod Krosnem można do dziś podczas grzybobrania potknąć się o niemiecki hełm z czaszką w środku, dla niektórych takie znalezisko warte jest wiele więcej od kosza pełnego rydów. Na allegro za łuski można dostać – w zależności od wielkości – od 4 złotych za amunicję do pistoletu do 600 za wielkie artyleryjskie kłocce. Inne znaleziska także osiągają kuszące ceny, co więcej – ładunki wybuchowe pozyskane z zebranych pocisków również stają się przedmiotem handlu.

Procedura jest banalnie prosta, ale zarazem paskudnie niebezpieczna. Znaleziony pocisk należy po usunięciu zapalnika ostrożnie otworzyć, a przynajmniej rozszczelnić, po czym umieścić w wiadrze z wodą i przez pewien czas gotować. Wkrótce na powierzchnię wypłynie żółtawa substancja, którą – po odciedzeniu i wysuszeniu – również w odpowiednich kręgach można zbyć z dużym zyskiem. Chcę jednak podkreślić, że jest to naprawdę niebezpieczne. Przepis zaserwowano mi w rubasnym opowiadaniu o ojcu i szwagrze, którzy skupowali niewypały i całe pociski od poszukiwaczy w ilościach hurtowych – mieli ich całą stodołę – po czym w wyżej opisany sposób wygotowywali z nich substancję wybuchową. Zabawa skończyła się pewnego wieczora, kiedy nie udało się zneutralizować zapalnika i ojca rozsiekano razem z większością zbiorów, a w ścianie stodoły wyrwało tak wielką dziurę, że można było przez nią wjechać traktorem. Nie zawsze się uda.

W Bieszczadach jest jeszcze wiele miejsc, gdzie ziemia kryje skarby z wojen, ale to Chryszczata pozostaje ulubionym rejonem poszukiwań. Podczas I wojny światowej stał na niej rosyjsko-austriacki front, w bitwach uczestniczyło ponad 50 tysięcy osób, mnóstwo żołnierzy zginęło pod ostrzałem artyleryjskim. Pomimo tego, że C.K. armia na innych odcinkach frontu tworzyła cmentarze, tu straty były tak wielkie, że większość ciał nie została pogrzebana.

Niektórymi zajęli się okoliczni górale po zakończeniu działań wojennych, jednak wielu mogło liczyć tylko na całun z bukowych liści.

Sekrety krainy połonin znają wciąż starzy Bieszczadnicy, niektóre dane mi było poznać. Wszystkich góry nigdy

Trzy po trzy

Grzegorz Kaczmarek

Zawsze gdy wracam do Warszawy po moich wyjazdach w góry czuję się dziwnie. Im dłuższy był mój pobyt poza stolicą, tym bardziej surrealistyczna wydaje się otaczająca rzeczywistość.

Gdy stawiam pierwsze kroki po warszawskim asfalcie, mam wrażenie jakbym znalazł się w próżni. Bodźce zewnętrzne docierają do mnie przytłumione, machinalnie kieruję się na przystanek autobusu, a potem ładuję się do 109. Coś jest nie tak, ktoś sobie ze mnie kpi; przecież te parę wysepek zieleni to jakaś fanfaronada.

W ogóle nie przypominają karpackiego buszu, a na dołki zewsząd napiera beton, stal i szkło. Choć by mi dopłacali nie wejść do żadnej z tych złotych klatek, bo po prostu się uduszę.

Miary apokalipsy dopełnia tłum. Tu jest za dużo ludzi! Gdzieś się śpieszą, za czymś gonią, czasami ryzykują życiem byle by dopaść do autobusu lub tramwaju. Obserwując to wszystko zza szyby autobusu, zastanawiam się po co to wszystko. Jak to możliwe, że dobrowolnie godzę się wracać do mojego bloku.

Kiedy przed nim stoję, przez moment w mózgu świdruje mi myśl: To naprawdę moje mieszkanie? Otwieram drzwi, witam się z rodzicami, wskakuję pod prysznic, a potem, jeśli nie jest zbyt późno, udaję się na konsumpcję do kuchni i robię pranie. Gdy odsapnę po podróży, tego samego lub następnego dnia wychodzę z domu. Machinalnie ubieram się do wyjścia, przekręcam klucz w zamku i już maszeruję do celu. Czegoś mi jednak brakuje i czuję się nie-swojo. Nie mogę dopasować się do rzeczywistości. Gdzie jest mój nóż, mapa i plecak. Czy ci ludzie pogłupieli?! Jak oni się poubierali?! Ci goście w garniturkach napawają mnie odrazą! Z czego oni się tak cieszą, że wdychają te wszystkie miejskie smrodki i jedzą oszukane produkty spożywcze!

O, jedzie mój autobus. NIE! nie będę biegł! Sami sobie biegajcie jak te chomiki w kołowrotkach! Pojadę następ-

nie wyjawia, prędzej uleczę niczym dym ponad retortami. A jeżeli przyjdzie mi kiedyś potknąć się o taki hełm, to postawię krzyżyk, ale orzełka nie zabiorę. Chłopcy nie prosili się ani o śmierć w środku zimy, ani o szrapnel w kregosłupie. Niech choć teraz nikt im nie zakłóca spokoju. ■

nym i tyle. Czekam na przystanku rozglądając się z niedowierzaniem i ciągle wydaje mi się nieprawdopodobne, że są to moje rodzime strony, bo czuję się tak jakbym został wyrwany z mojego prawdziwego domu gdzieś tam na południu... No, wreszcie coś przyjechało. Wsiadam. Autobus rusza ku jądro ciemności. Z każdą chwilą zbliżam się do centrum; atmosfera gęstnieje. Moje 105 staje na światłach. Jakiś facet trąbi wniebogłosy. Trąb dalej i tak teraz nic nie poradzisz, a jak będziesz się tak rzucać to zapracujesz na zawał serca!

Uff! Wreszcie jestem na miejscu; załatwiam swoje sprawy i mogę wracać do domu. A tam dopada mnie myśl, że tak dalej być nie może! Wypisuję się z tego interesu! Duszę się tutaj, ja chcę do lasu, nie mogę patrzeć na te wszystkie budynki i tabuny ludzi. Zaraz się spakuję i wyjadę stąd, na zawsze. Nawet wiem gdzie się ewakuuję, tak, Roztoki Górne to jest to!

Miejsca jest tam sporo bo prawie nikt tam nie mieszka, bez problemu znajdę miejsce na chatkę. Zbuduję ją własnymi rękami. Poza paroma domkami, z których większość zamieszkiwana jest tylko sezonowo, wokół są tylko góry. Jak zasypie drogę do Cisnej i przełęcz na granicy to nikt mnie tu nie znajdzie. Nie boję się ani ekstremalnych upałów, ani tegich mrozów, burz i ulew. Poradzę sobie, bo będę tu miał wszystko czego mi potrzeba – góry, lasy, dwie ręce i głowę na karku. Ludzie, którzy tu zaglądają są specyficznego sortu. Nikt tu nie będzie wykonywać koncertu na klaksonie czy biegał jak kot z pęcherzem. W dolinie Roztoczki czas płynie inaczej.

Nagle słyszę głośnie metafizyczne pyknięcie. To sygnał od mózgu żebyśmy przestał opowiadać trzy po trzy i zabrał się do roboty. Trybik wskakuje na miejsce i znowu wszystko zaczyna toczyć się jak dawniej.

Ale czy na pewno? O nie! Będę robił swoje ale mam dystans do Warszawy, uważanej przez wielu za Eldorado. Daję wam słowo, jak tylko będę mógł zwieję stąd choćby w lasy celestynowskie. A do Roztok jeszcze kiedyś wrócę i to może nie sam... ■

Porta Rusica

Część Trzecia: Nie budź licha!

Grzegorz Kaczmarek

Zamek Gimes, wielokrotnie niszczone przez siły osmańskie i odbudowywany przez ród Fogarców, leżał na kresach posiadłości Habsburgów. Sąsiedztwo fortecy pobliskiego ejaletu egirskiego sprawiało, że, jak to określała załoga z nagytapolcsańskiego zamku, było to miejsce gdzie zwracały nawet wrony a diabeł mówił dobranoc.

Gimes wchodził w skład łańcucha karpackich fortyfikacji broniących od wschodu i południa dostępu do doliny Nyitry. Po upadku twierdzy Léva, Verebély i Nyitra zna-

lazł się na pierwszej linii obrony. Ich przedpole wraz z obszarem między środkowym biegiem Garamu i Vágu stało się płonącym pograniczem. Regularnie przemieszczały się tędy siły armii proroka i obrońców chrześcijańskiego przedmurza Europy. Taka sytuacja dawała szerokie pole do popisu zagończykom takim jak Rajner, niebieskim ptakom i pospolitym bandytom. Po kilku latach ciągłego życia pod bronią Matyas zmęźniał, dorobił się kilku blizn i awansował na oficera. Jako Henryk Rajner zyskał sobie szacunek i poważanie towarzyszy broni oraz zaufanie ka-

pitana Kraya. Po brawurowej akcji przeprowadzonej pod nosem paszy egirskiego otrzymał od kompanów zaszczytny przydomek „Sokół”.

Jednak jak to często bywa początki nie należały do najłatwiejszych. Gdy na swoim pierwszym patrolu koło Galgóc zobaczył nawleczonych na pale, dogorywających azabów, zwrócił całe śniadanie. U jego kompanów, starych wiarusów, wywołało to salwy śmiechu i niewybredne komentarze. Gruby jak beka Gábor zwany „Rzeźnikiem” z twarzą przypominającą gruszkę śmiał się tak, że słyszała go z pewnością załoga Nyitry. Robił wrażenie nieruchawego i na pierwszy rzut oka wyglądał na spalonego mieszczanina z Czech ale w rzeczywistości był to człowiek obdarzony wielką siłą, zręcznie wywijający ogromnym kordem stanowiącym jego ulubioną broń.

Nie mniejszy ubaw miał Nikola, uskok spod Smedereva. Ten niewiarygodnie zwinny człowiek miał za sobą pirackie eskapady na Adriatyku, „wczasy” na osmańskiej galerze oraz „wycieczki” po ejalecie Egirskim. Był pierwszym dowcipnisem komitatu i nie pomijał żadnej okazji do splełtania figla. Kilkakrotnie rozwścieczony kolejną krotoczwiałą podwładnego, Kray chciał go „wyrzucić na zbity pysk”. Serb unikał „egzekucji” dzięki wstawiennictwu kompanów ceniących go nie tylko za dowcip, ale i małpią zwinność, niezwykle przydatną w czasie wypraw do ziem sekretarza Lucyfera jak pieszczotliwie w Nagytapolcsánach nazywano sułtana Mehmeda. Nieodłącznymi kompanami Nikoli byli bracia Juraj i Andrej, synowie kmiecia z komitatu Túróc, najlepsi strzelcy w oddziale chętnie asystujący w jego „popisach”.

Inaczej do sprawy podeszli ponury Ferenc z Presburga, pierwsza szabla Nagytapolcsán, z racji długiej gęstej brody przezwany „Moskalem”, oraz jego przeciwieństwo „Młynek”, gadatliwy rudy Styryjczyk Rudolf. Pierwszy reakcję „nowego” skwitował splunięciem na ziemię, drugi zaś mielił temat do końca dnia.

Dla podporucznika Rajnera były to już odległe wspomnienia. Z dawnych kompanów żyli już tylko Nikola i Moskal. Pozostali zginęli w boju. Ich kości rozsiane były od Galgóc po Párkány. Zazwyczaj nie było nawet czasu by godnie pochować tych dzielnych ludzi, dlatego zawsze gdy ginął ktoś z Nagytapolcsáńskiej kompani w obecności kapitana Kraya odbywał się pogrzeb z wszelkimi honorami i to niezależnie od tego czy w trumnie spoczywało ciało. Na miejsce poległych pojawiali się nowi ochotnicy kaprysem losu przygnani na pogranicze pochłaniające wciąż nowe ofiary. Absolutnie nikt, od Moskala począwszy, a na cesarzu skończywszy, nie wierzył, że w dającej się przewidzieć perspektywie Osmanowie cofną się choćby do Budy.

Na Górnych Węgrzech wielu było zirytowanych postępowaniem Wienne. Madziarzy mieli już dość roli walącego się kawałek po kawałku chrześcijańskiego przedmurza Europy wysysanego przez Habsburgów z zasobów ludzkich i finansowych. Byli rozjątrzeni „zdradą vasvárską”; nie mogli darować cesarzowi, że po zwycięstwie pod Szentgotthárd nie przeszedł do kontrofensywy i na mocy pokoju w Vasvár pozostawił w rękach sułtana Érsekújvár, Nitreg i wiele innych twierdz. Czarę goryczy przepełniło zawieszenie praw szlachty węgierskiej oraz zaostrzenie kursu wobec protestantów. Od Adriatyku po Karpaty przetoczyła się fala niezadowolenia, która miała mieć poważne konse-

kwencje dla dziejów rodu Rajnerów.

Historia zerwała się ze smyczy. Zaczęło się od nieudanego spisku Wesselényiego i chłopskich wystąpień przeciw wojskom cesarskim. Następnie na scenę wkroczył Imre Thököly, który oderwał od Austrii blisko połowę Królestwa Węgier, jak Habsburgowie nazywali ochłap wytargowany niegdyś od Sulejmana Wspaniałego.

Powstanie Thökölyego doprowadziło cesarza Leopolda do wściekłości. Utracił szereg znacznych miast i zamków o strategicznym znaczeniu. Poza jego kontrolą znalazły się bogate kopalnie na Górnych Węgrzech, a wspólna granica z Siedmiogrodem przeszła do przeszłości. Co prawda w Vasvár uznał zwierzchność sułtana nad tym księstwem ale w głębi duszy obiecywał sobie, że Habsburgowie położą kiedyś rękę na Transylwanii. Była ona dla niego tym czym już niedługo miał się stać Chanaat Krymski dla pewnego chłopca bawiącego się na Kremlu.

Po pokonaniu drogi przez góry, podporucznik Rajner przekroczył Garam opodal Barsu i zapuścił się w głąb sułtańskiego władztwa. Jego oddział przekradł się nad Ipolę, gdzie miał podjąć działania dywersyjne i schwytac języka. Wywiad donosił, że po drodze z Drégelypalánk do Losonc od dwóch tygodni przemieszczają się oddziały akindżajów mające wzmocnić siły paszy Egeru. Muzułmańscy panowie tego miasta od dłuższego czasu łakomie spoglądali na pobliskie kopalnie i krok po kroku zbliżali się do upragnionego celu. Omar pasza ścigał wojska do Losonc i już niedługo miał wydać rozkaz wymarszu na wojnę z niewiernymi.

Dragoni Rajnera czatowali na mniejsze jednostki i maruderów przemierzających gościniec biegnący między rzeką a wzniesieniami. Zaczajeni pośród zarośli nadipolskich pagórków czekali kilka dni nim zwiadowca dał znać o zbliżaniu się Osmanów od Ipolyság. Doskonale zamaskowani i przemysłnie rozstawieni niecierpliwie wyglądali wroga. Gdy w końcu na horyzoncie pokazali się galopujący jeźdźcy, ogorzały od czerwcowego słońca podporucznik wydał rozkaz przygotowania się do ataku. Nikola okiem znawcy śledził przez lunetę nadciągającą kawalerię.

- Czeka nas ciężki bój, Moskal. To nie akindżajowie lecz regularna jazda z Bośni. Zdaje się, że nowy pasza pragnie zdobyć przychylność padyszacha.
- Pewno uderzy na Zólyom. . .
- . . . żeby potem zagarnąć kopalnie w Selmechányi!
- Nasz agent w Budzie zawiódł!
- Rakarz! Odchudził sakiewkę w zamtuzie, a potem kupił kota w worze!
- Furda z wszystkimi agentami! Bić Bisurmanów!
- Moskal, Nikola! Dość sejmikowania! Podpuścić psu-bratów na dwie staje, palić z muszkietów, a potem roznieść ich na szablach! Moskal, ruszysz jazdę zza wzniesienia jak tylko usłyszysz salwę.

Moskal splunął na ziemię i bez słowa sprzeciwu popędził na prawo ku wzgórzu porośniętemu krzakami. Nikola wydał piechurom ostatnie dyspozycje. Jedni cicho powtarzali Pater Noster, drudzy klęli pod nosem. Młodszy, mniej

doświadczeni żołnierze z wysiłkiem zwalczali strach wstając w miarę zbliżania się Spahisów.

Wywiązał się zażarty bój. Bośniacy dostali się pod ogień muszkietów, ale mimo totalnego zaskoczenia nie rozpięchli się i wytrzymali uderzenie Moskala. Zwycięstwo ważyło się wśród kałuż posoki i krzyków żołnierzy walczących na śmierć i życie. Gięły się napierśniki i karwasze, łamały kałkany, brzęczały o szyszaki szable. W ferworze walki Moskał spadł z konia zranionego spisą i został stratosowany przez nacierającego przeciwnika. Rozwścieczony Nikola zabił go celnym rzutem pugi nał po czym sam padł od potężnego ciosu czekana w skroń. Rajner był zbyt daleko by im pomóc, a w dodatku sam miał kłopot z olbrzymem wywijającym dwoma jataganami. Z wysiłkiem odparł ataki przeciwnika niewykazującego najmniejszych objawów zmęczenia przedłużającą się walką. W pewnej chwili jatagan złamał szablę i wydawało się, że to już koniec. Sytuację uratowała kopia upuszczona akurat przez zwanego z konia jeźdźcę. Wykorzystując ostatnią deskę ratunku, błyskawicznym ruchem wraził drzewce w gardło giganta. Odskończył na bok i dobywszy jataganu leżącego obok drgającego cielska pośpieszył z odsieczą rannemu w ramię młodzikowi, który był w poważnych tarapatach. Błyskawicznym cięciem zwał z nóg zaskoczonego napastnika i samotrzcę ruszył tam gdzie trup słał się najgłębiej. Spychani ku rzece spahisi zaczęli ustępować pola. Ostatni z nich skupieni wokół sztandaru drogo oddali swe życie wysadzając się granatem. Rajner wygrał potyczkę ale stracił wielu ludzi i nie udało mu się wziąć języka. Pojawienie się nowych sił osmańskich było kwestią niedługiego czasu. Nie była to pora na wykwintne ceremonie pogrzebowe. Zwycięski podporucznik zdążył jedynie spełnić prośbę Nikoli by po śmierci na opuszczone powieki położyć mu monety. Na odchodnym zabrał tkwiącą w ciele dowódcy spahisów czeczugę Moskala i nakazał odwrót na północ, ku Zólyom.

Wszystko szło dobrze do chwili gdy opadła gęsta mgła. Młody oficer zmylił drogę i wjechał w nieznana dolinę. Tu widoczność nieco się poprawiła i udało się znaleźć schronienie. Jaskinia w potężnym ostańcu skalnym zdawała się gwarantować odpoczynek przy wieczery i spokojny sen. Obszerna grota byłaby idealnym miejscem na rozpalenie ognia gdyby nie pewien „drobny” szczegół. Nie zdając sobie z tego sprawy dragoni stali się nieproszonymi gośćmi w nosie starego trolla. Najpewniej pogrążony w głębokim śnie gigant nie poczułby obecności intruzów gdyby nie owo nieszczęsne ognisko.

Płomienie buchały raźnie i Radu szykował się już do pieczenia zdobycznego prowiantu gdy wszystko zaczęło się chwiać w posadach. Rajner i jego ludzie rzucili się do ucieczki. Gdy wybiegli na zewnątrz ogarnęło ich przerażenie. Zbocze góry mieszczącej jaskinie, zaczęło się poruszać. Całą okolicą targały wstrząsy o potwornej sile. Z ziemi wstawało coś monstrualnego. Omszały, porośnięty lasem gigant umoczył nozdrza w strumieniu, parsknął, wyprostował się i zaczął szukać winowajcy. Był zły, bardzo zły. Ktoś brutalnie przerwał jego wielowiekową drzemkę. Dostrzegł kilkanaście biegnących mikrobów i natychmiast zmiażdżył je stopą. Rozejrzał się dookoła ale nie dostrzegł nikogo więcej. Przysiadł na ziemi, podrapał się po głowie i jak gdyby nigdy nic ponownie zapadł w sen.

Radu obudził się późnym rankiem z silnym bólem głó-

wy. Wstał i pomacał dłonią potylicę; była cała we krwi. Zdecydowanie nie był to objaw kaca. By nie dopuścić do spaprania się rany narwał łopianu, przyłożył go spodem do głowy i obwiązał odprutym kawałkiem koszuli. By w pełni powrócić do życia obmył twarz w potoku. Nie mógł ogarnąć swym rozumem co stało się wczorajszego wieczora. Pamiętał tylko trzęsienie ziemi i to coś...

Cała okolica wyglądała jakby przetoczył się nad nią jakiś straszliwy kataklizm. Szukając wśród tego ponurego krajobrazu swych towarzyszy, zbliżył się do skalnego ostańca, który jak mu się wydało znajdował się w zupełnie innym miejscu niż wczorajszej nocy. Kawałek dalej natrafił na potężne dziury. Jedna z nich była głębsza od pozostałych. Zaciekawiony Wołoch zbliżył się do jej krawędzi. W dole zobaczył coś dziwnego. Gdy zszedł na dno aż krzyknął z przerażenia. To co przed chwilą przykuło jego wzrok okazało się kupą zmiażdżonego ludzkiego mięsa. Nie dało się w niej odróżnić pojedynczych postaci ale wystająca z ziemi misternej roboty rękojeść czeczugi Moskala zdawała się wskazywać, że wśród zmiażdżonych znajdował się podporucznik Rajner. Radu przeżegnał się i zaczął zasypywać ziemią przyprawiający o mdłości widok. Usypał kopiec i położył na nim na wpół rozwaloną misiurkę. Zmówił modlitwę za poległych, której nauczył się jeszcze na Bukowinie. Wstał i zaczął mozolnie wygrzebywać się z krateru. Kiedy zakończył wspinaczkę postanowił wejść na pobliski pagórek aby się rozejrzeć. Dopiero stamtąd dostrzegł, że dziury mają kształt stóp ponadnaturalnych rozmiarów. Stara piastunka Florica opowiadała mu kiedyś bajki o trollach ale przecież to tylko klechdy! A może jest w nich jakieś ziarno prawdy? Przecież w ojczyźnie i po ucieczce do Siedmiogrodu przed gospodarskimi siepaczami widział wiele rzeczy, których żadną miarą nie dało się wyjaśnić. Lepiej nie kusić losu! Trzeba się stąd czym prędzej wynosić i spróbować znaleźć kogoś z oddziału.

Na konia nie było co liczyć bo oszalałe ze strachu wierzchowce pognały ku wylotowi doliny. Nie chcąc ryzykować spotkania z Osmanami skierował się w przeciwnym kierunku. Poszedł wzdłuż potoku, który po kilku stajach wpadał do niedużej rzeczki meandrującej między gęsto zalesionymi górami. Zdecydował się podążyć jej brzegiem.

Słońce już dawno wskazało południe, młodzieniec poczuł głód. Przypominał sobie wtedy, że w skórzanym torbie, która ocalała z wczorajszej apokalipsy, ma jeszcze trochę pożywienia. Na postój wybrał miejsce gdzie na skraju lasu leżał zwalony buk. Po przygotowaniu drewna za pomocą hubki, krzesiwa i krzemienia rozpałił ogień. Skonstruował mały rożen i począł piec oprawione wprzód zające. Już miał zdjąć je z ognia gdy usłyszał szmer. Kątem oka dostrzegł dwie postacie podkradające się pod osłoną bujnych zarośli. Sprawdził czy szablą lekko wychodzi z pochwy i udając że niczego nie zauważył zdjął szaraki z rożna. W tym momencie jedna z postaci wstała i z wolna zaczęły zbliżać się do ogniska.

Radu zgodnie z maksymą Moskala chciał „najpierw pracować a potem zadawać pytania”. Chwycił za szablę i chciał ciąć intruza w pierś. W ostatniej chwili cofnął rękę i z wybałuszonymi oczami zapytał:

- Panie podporuczniku to pan czy pański duch?
- Ja we własnej, poobijanej osobie.

- A kto kryje się w listowiu?
- Masz sokoli wzrok Radu; to Jackiewicz.
- Myślałem, że wszyscy zginęli.
- Takóż i my.
- Pochowałem po chrześcijańsku to co zostało z naszych komilitonów i zabrałem ze sobą tę szablę.
- Moskalowa czeczuga! Nie wierzyłem, że w tym bałaganie odnajdę moją broń.
- Jakem Andrzej Jackiewicz herbu bawola głowa, takiej maskary nigdy nie oglądał!
- Ani chybi jakieś diabelskie monstrum. Słyszałem o takich gdym był na naukach we Wiedniu. Pokazywano mi nawet kości tych szkaradnych stworów wykopane z alpejskiego torfowiska.
- Niegorzej nas ta poczwara przetrzebiła. Już chyba wołałbym mierzyć się ze wszystkimi zastępami sekretarza Lucyfera.
- Już nigdy nie wejść do żadnej jaskini! No może za wyjątkiem komnaty kapitana Kraya!

Rozładowawszy napięcie wywołane nocnym koszmarem Radu zaprosił Rajnera i Jackiewicza „do stołu”. Po zjedzeniu dodatkowej porcji potrawy z zająca zaczęli się zastanawiać co począć dalej. Rajner zdecydował, że pójdą dalej brzegiem pobliskiej rzeczki. Wobec zapadającego zmroku zarządził nocne warty przy ognisku. Jeśli nie liczyć wycia wilków i pozostałych odgłosów karpackiej głuszy noc minęła spokojnie.

Rano zjedli resztki wczorajszego posiłku, zgasili ogień i ruszyli w drogę. Po całodobowym mozolnym marszu dotarli do gościńca, którym podążyli na południe trafiając do Bélabánya gdzie zostali pojmani i rozbrojeni przez patrol kuruców Thökölyego.

W jaskini panował nieprzenikniony mrok. Słychać było tylko kapiącą wodę, która przez tysiąclecia przekształciła podziemne królestwo w dzieło sztuki zdobione stalaktytami i stalagmitami. Nie brakowało tu również pięknych minerałów. Był wśród nich i kalcyt dla, którego w okolicy

Rozsnyó przybył Aldabir. Miał już wszystko co było potrzebne do rytuału nekromantycznego – chalkantyt, magiczną księgę i Karla Rajnera. Należało jedynie odnaleźć komnatę Szandraga, dackiego czarnoksiężnika władającego niegdyś Karpatami. Było to niełatwe nawet dla kogoś wtajemniczonego w arkana magii. Aby ją odnaleźć należało najpierw wypowiedzieć zaklęcie zdejmujące iluzję a następnie odszukać ukrytą dźwignię.

Czarodziej oświecił zaklęciem solarnym kolejny stałagnat w olbrzymiej komorze. Choć czuł, że jest we właściwym miejscu nie mógł odnaleźć starożytnego mechanizmu. Zirytowany przysiadł na ziemi i zaczął zastanawiać się gdzie popełnił błąd. Jednak pomyłka przy odczytywaniu dackiej inskrypcji czy zabłądzenie w jaskini nie wchodziły w grę. Aldabir myślał intensywnie, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Zrezygnowany chciał wyjść z pieczary, gdy nagle na głowę kapnęła mu kropla wody. I wtedy go olśniło – woda to jest to!

Podszedł do filaru przy, którym znajdowało się jezioro. Wsadził rękę poniżej linii wody, namacał pod nim otwór kryjący dźwignię i pociągnął ją. Ściana jaskini na drugim końcu komory poczęła trzeszczeć i po chwili rozwarły się skalne wrota. Uradowany podszedł ku nim i z nabożnością przekroczył próg magicznej komnaty.

W centrum kolistego pomieszczenia znajdował się duży czarny kamień z niewielkim zagłębieniem, otoczony małymi meteorytowymi misami. Wypełnił je zebranych minerałami, a w kamiennym wgłębieniu umieścił czarną szkatułkę. Odsapnął chwilę by zebrać siły przed rzuceniem zaklęcia i wyciągnął ze skórzanej torby księgę zapisaną błyszczącym w mroku atramentem. Odszukawszy właściwą kartę zaczął odczytywać długą formułę.

Z początku nic się nie działo lecz w miarę przewracania kolejnych stron, ze szkatułki poczęła unosić się żółtawa mgła, z której wyłonił się duch Karla Rajnera. Galicjanin szamotał się desperacko ale przygwożdżony wolą maga był bezsilny. Kopczyki minerałów usypane w misach poczęły przebiegać iskry przeradzające się w potężniejsze wyładowania elektryczne oplatające zjawę. Trzymały ją w uścisku aż zaczęła oblekać się w ciało. Gdy duch uległ całkowitej transformacji kalcyty i chalkantytów zbladły a wyładowania powoli słabły odsłaniając leżącego na głazie nieprzytomnego oficera w mundurze krója „psu z gardła”.

Pokrzepiony sukcesem Aldabir sprawił, że Karl zapadł w stan hibernacji i dokonał błyskawicznej teleportacji do Faldonu gdzie ich powrotu oczekiwali król Mirmon i jego rada. ■



Ci co dotrwali do końca walnego. W prawym dolnym rogu ustępująca pani prezes z prezentem. Jędrrek Wiktowski robi zdjęcie